Nr. 12. Lwów — Sobota dnia 16 Stycznia. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. —
w Niemczech „ 1 „ 50
w innych państwach „ 2 „ —
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Dziś: św. Marcelego | Sobor 70 Ap.
Jutro: C. 2 po 3 Król. | N. pr. Boh. Hł. 1
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 7 m. 52 | Zachód „ 4 „ 29
Długość dnia g. 8 m. 37 | Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny

Lwów 15 stycznia.

Z otrzymanych stenogramów sejmu pruskiego dowiadujemy się, że podczas rozprawy o Szląsku i jakiejś wielkopolskiej agitacyi na nim, wyrzekł minister von der Recke słowa, których nie podał telegram. Oświadczył ten pan, że między językami wasserpolnisch a hochpolnisch istnieje gruntowna różnica i że on polecił swym podwładnym sporządzić spis „wielkiej liczby wyrazów“ zupełnie innych w gwarze górnoszląskiej niż w mowie polskiej, a dalej tak mówił: „Zaznaczyłem to już wczoraj, że wielkopolska agitacya objawiła się w ostatnich czasach w różnych dziedzinach publicznego życia na Szląsku. Rząd jest zdania, że należy ją zwalczać z całą energią, albowiem nie można dopuścić, iżby w państwie tworzyło się państwo, a ludność zapominała, że jest pruską. Jeśli okaże się, że ten ruch nie jest chwilowym, lecz owszem będzie się wzmacniał i rozszerzał, natenczas rząd wystąpi przeciwko niemu z wszystkimi środkami, które znajdzie pod ręką“.

Warto się zastanowić nad tem oświadczeniem, nad tą ogólnikową groźbą, aby przecie domyśleć się, co ona zapowiada. P. minister ułożył sobie spis wyrazów, innych w gwarze górnoszląskiej, niż w polskim języku, i na tej podstawie sądzi, że to są dwa odrębne języki. Znać ministrom wolno w imię racyi stanu wygłaszać zdania, za które żaden profesor filologii nie dałby im promocyi. Gdyby p. Recke do swoich „von der“ dodał jeszcze „dr.“ to i wtedy nikogo nie przekona, że jest kilka języków niemieckich, chociaż stowarzyszenie puryfikatorów tego języka wydało już kilkanaście grubych tomów słownika prowincyonalizmów i naleciałości. Ta sama reguła filologiczna stosuje się do języka polskiego. Ale ponieważ p. Recke, jako minister spraw wewnętrznych, a nie oświaty, może utrzymywać, iż nie jest w tej sprawie kompetentny, przeto pomijamy tę kwestyę. Natomiast on właśnie jest panem „wszystkich środków, jakie rząd znajdzie pod ręką“, gdy zechce z całą energią walczyć z polskim duchem na Szląsku. Jakież więc są te środki? Przedewszystkiem oczywiście zjawi się nowa ustawa, zakazująca publicznie mówić inaczej jak po niemiecku. To pomysł nie nowy. Podobny zakaz wprowadził na Litwie Murawiew, który za każde przemówienie na ulicy lub w sklepie po polsku kazał płacić grzywnę z początku 25 rs., potem 100, a kiedy ogólna rosyjska ustawa zaprowadziła 500-rublową grzywnę za wszelki zgoła objaw, wzbudzający podejrzenie, iż dana osoba jest usposobiona nie korzystnie dla rządu, brano na Litwie tę ostatnią grzywnę za mówienie po polsku. Rezultat był ten, że po ulicach chodzili ludzie jak niemi; żadnych zgromadzeń, stowarzyszeń, posiedzeń nie było, bo znowu ukaz Murawiewa stanowił, że nawet w domu nikt, bez osobnego zezwolenia policyi, nie miał prawa przyjąć gości więcej jak pięć osób. A jednak sami Rosyanie przyznają, że taka metoda tępienia języka dała rezultaty wbrew przeciwne oczekiwanym, a inaczej też być nie mogło, bo ścigani w ten sposób zamknęli się w niezdobytej twierdzy jaką jest rodzina. Wprawdzie dziś się uważa, że przedewszystkiem życie publiczne, przeróżne stowarzyszenia, związki, wiece i t. d. są potężną dźwignią narodowego rozwoju, lecz można o tem wątpić. Są one dźwignią ekonomiczną, ale nie społeczną i nie narodową. W Rzymie przedchrześcijańskim rozkwit życia publicznego był nadzwyczajny i doprowadziło to w końcu do znanych objawów upadania państwa a kosmopolitowania się ludności. Po Cyceronie i wielu pisarzach, wskazujących tę wadę życia publicznego, zabrał się cesarz August do wtłoczenia społeczeństwa za pomocą ustaw i policyi w granice rodzinnego życia, było już jednak za późno. Gdyby tedy nie gorycz i złe narowy, jakie wytwarza wszelkie prześladowanie, moglibyśmy nawet być radzi z tego, że rząd pruski, wtłaczając nas w granice domowego ogniska, pracuje dla przyszłości naszego narodu.

Jakież jeszcze „wszystkie środki“ ma pod ręką p. von-der-Recke? Gdy murawiewowskie okażą się złemi, może użyje piechoty, kawaleryi i artyleryi? Takie przypuszczenie może w pierwszym momencie wydać się największą niedorzecznością, lecz do czegoż nie doprowadzi wciąż rozwijający się hakatyzm? Ród Carnapów rozmnaża się dziwnie prędko, znajduje obrońców i chwalców — jest to więc ta sama droga, która nieraz doprowadzała do pastwienia się nad podbitemi narodami. Ale wiadomo, że i rzezie nie pomagały.

Przez usta p. von-der-Recke rząd jasno określił swe stanowisko: przyjął hasła hakatystów. Kiedy on mówi o wielkopolskiej agitacyi na Szląsku, to ma na myśli nie to, że idzie ona z Wielkopolski, lecz że nad Szląskiem wieje prąd ogólne polski. I dlatego właśnie rząd nie może wskazać ani tej agitacyi, ani pohamować gniewu, że ziemia oderwana od pnia narodowego przed wiekami i przez ten czas ciągle nasycana wrzekomo wyższą cywilizacyą niemiecką, wraca z taką siłą do swej macierzy, — żebyż przynajmniej do szczęśliwej, o promienionej chwałą i potęgą, ale nie: do powalonej na ziemię, sponiewieranej, skrwawionej. Więc to nie interes kieruje Szląskiem, ale uczucie bardzo silne, bardzo głębokie, skoro ten kraj rzuca dostatki i splendory wielkiego Vaterlandu, aby podzielić niedolę i katusze Polski. Zazdrość i poczucie zniewagi rozsadza pierś każdego krzyżaka, białka nabiegają mu krwią, piana pokazuje się na ustach, żylastą ręką miecz ściska — już wstąpił na drogę hakatystów i pójdzie nią, a nienawiść będzie go zaślepiała coraz bardziej.

Jest stare angielskie przysłowie: „Bij go, bo on nie ma przyjaciół“. My ich nie mamy nigdzie na świecie. Ale mamy w sobie taką dodatnią zaciętość, że cudów potrafimy nią dokazać, byleśmy naprawdę chcieli. A jak chcieć, to już dawno powiedział proroczy poeta, zalecając robić, co każe duch boży.

Pierwsza ustawowa próba załatwiania międzynarodowych zatargów sposobem polubownym przyszła do skutku. Rządy Stanów Zjednoczonych i Brytanii zawarły między sobą traktat, który jeszcze musi być zatwierdzony przez izby prawodawcze. Akt ów nazywa się traktatem o sądach rozjemczych, a zawiera takie postanowienia:

Wszelka sprawa o pieniężne wynagrodzenie do wysokości stu tysięcy fantów szterlingów będzie sądzona przez trybunał złożony z jednego angielskiego i jednego amerykańskiego prawnika, oraz arbitra, którego oni wybiorą. Wyrok wydaje się większością głosów. Jeżeli chodzi o kwotę większą niż sto tysięcy fantów, natenczas decyduje tak samo złożony trybunał, ale jednogłośnie. W razie niezgodności sędziów, sprawa przejdzie do innego trybunału, złożonego z dwóch prawników z każdej strony i jednego wybranego przez nich arbitra, wyrok zaś wydaje większość.

Wszelkie sprawy o terytorya państwowe rozstrzyga trybunał z trzech najwyższych sędziów w Anglii i tyluż takich samych w Stanach Zjednoczonych. Wyroki zapadają większością pięciu głosów przeciw jednemu i są niecofnione. Jeśli większość wynosi cztery głosy, każde państwo ma prawo założyć protest przeciw wyrokowi, a wtedy sprawa może być oddana do wspólnego osądzenia najwyższym trybunałom Stanów i Anglii, albo też któremuś z państw, zaprzyjaźnionych z obu spornemi stronami. Jeżeli trybunał złożony z tych najwyższych sędziów nie wyda wyroku wszystkimi głosami, albo jeżeli sporne strony nie zgodzą się na wybór zaprzyjaźnionego państwa, któreby rozstrzygnęło sprawę, natenczas arbitrem będzie król szwedzko-norweski. — Traktat ów, po jego ostatecznem przyjęciu przez izby prawodawcze i po sankcyonowaniu, będzie trwał lat pięć. Wypowiedzieć go można nie wcześniej jak w pierwszy dzień piątego roku. Niewypowiedziany w tym terminie, trwa drugie pięciolecie. — Prezydent Cleveland, przesyłając ów traktat senatowi waszyngtońskiemu, napisał w swem orędziu, że układ ten uważa za niezmiernie ważny wypadek w dziejach ludzkości i że dobre jego skutki zachęcą niezawodnie wszystkich do naśladowania przykładu Stanów i Brytanii, a gdy to się stanie, zacznie się nowa era cywilizacyi.

Pozostaje więc teraz podszepnąć Stanom Zjednoczonym myśl wypróbowania skuteczności tego traktatu na sprawie naprzykład Kanady. W takim razie Anglia wywijałaby się przez cztery lata, a potem wypowiedziałaby traktat.

Klęska Lewakowskiego.

Piszą nam z Wiednia, 14 stycznia:

Rozprawy o wnioskach naglących Lewakowskiego i Romańczuka skończyły się nietylko odrzuceniem tych wniosków znaczną większością 101 głosów przeciwko 47, ale także dotkliwą moralną porażką ostatniej akcyi radykalnej w starym parlamencie. O ile ona nawiązywała do przemowy księcia namiestnika przy otwarciu ostatniej sesyi sejmowej, tak prezes gabinetu, jako też prezes Koła polskiego, stanowczo i zwycięzko odparli cyniczny zamach na osobę znakomitego męża, który na stanowisku naczelnika rządu krajowego, jak dawniej na stanowisku marszałka krajowego, zjednał sobie gorące uznanie i wdzięczność całej zdrowej i wytrawnej części narodu. Zabraniać namiestnikowi, zwłaszcza takiemu, który na tem stanowisku zasiadł jako wybitny mąż zaufania narodu, wypowiedzenia swej rady i swego zdania o ruchu stronnictw, tudzież ostrzegania przed zboczeniami z drogi prawej, jest niedorzecznością. Wypowiadając takie zdanie, namiestnik nietylko nie przekracza swej kompetencyi, lecz spełnia patryotyczny obowiązek. Jeżeli w tym względzie obrona ze strony prezesa gabinetu wynika logicznie z solidarności władzy państwowej, to gorące słowa p. Jaworskiego, jako prezesa naszej reprezentacyi parlamentarnej, musiały usunąć wszelki cień wątpliwości i uroczyście zatwierdzić zupełną bezzasadność radykalnych oszczerstw.

P. Lewakowski w prawdziwie komiczny sposób zakończył swój smutny zawód secesyonisty westchnieniem: „Gdzieżbym miał przemawiać o tych rzeczach, jeżeli nie w parlamencie austryackim?“ Więc tylko dla tego, aby koniecznie przemawiać, wolno w parlamencie austryackim wytaczać nieustannie skargi na władze krajowe, na urzędników Polaków, i to skargi, oparte na samych wymysłach, plotkach i przekręceniach, jak to wczoraj skonstatował prezes gabinetu? Chociaż nazwa „parlamentum“ pochodzi od mówienia, to przecież zadanie posła nie zależy na tem, aby koniecznie mówić bez potrzeby, a nawet wymyślać fakta, aby o nich mówić! Najmniej może to być zadaniem posła polskiego, mniejsza o to, czy w parlamencie austryackim, czy w którymkolwiek innym, i dostarczać w ten sposób zawistnym i niechętnym pretekstu do szkalowania urzędników Polaków, nawet tych najwyższych, którzy spełniają akt patryotycznej ofiarności, stojąc na czele administracyi krajowej! Sporadyczne sceny wydarzały się także dawniej. Pierwszy jednak dr. Lewakowski dokonał jej w tym wyraźnym celu, aby w parlamencie austryackim przy pomocy obcych warchołów, rozpocząć systematyczną kampanię oszczerstwa przeciwko tej własnej, polskiej administracyi, którą uważamy jako najważniejszą zdobycz 30-letniej naszej polityki w Austryi.

O ile interpelacye i wnioski Lewakowskiego i Romańczuka, popierane do końca przez Pernerstorfera, zmierzały do steroryzowania władz w Galicyi i ułatwienia tem samem pracy żywiołom rozstroju narodowego w przyszłych ogólnych wyborach, niezawodnie chybią celu. Prezes gabinetu oświadczył wczoraj, że rząd nie zboczy z drogi, którą mu wskazują „ustawy i odpowiedzialność“, że przestrzegać będzie „zabezpieczonej prawami wolności“ i dbać o „prawidłowe postępowanie władz“. Legalna wolność — to coś innego, jak anarchiczna samowola, a prawidłowe postępowanie władz wyklucza wszelką niedbałość lub ale głość władz wobec warcholskich trybunów. W państwie konstytucyjnem rząd nie „robi“ wyborów, ale moralna odpowiedzialność obowiązuje każdy rząd, aby ile możności zapobiegał wzmaganiu się prądów rozkładowych, waśni społecznej, dążeniom do przewrotu. Nie wątpimy więc wcale, że władze krajowe, nie zatrwożone bynajmniej odświeżoną przez p. Lewakowskiego w parlamencie wiedeńskim starą taktyką jakobińską, przestrzegając w prawidłowy sposób „zabezpieczonej prawami wolności“, nie będą jednak czyniły żadnych ustępstw anarchicznej swawoli.

P. Pernerstorfer grozi nam nowym parlamentem, w którym będzie dosyć żywiołów „gotowych poruszać ciągle wrzód w Galicyi“, to [illegible] szkalować naszą narodową autonomię i podkopywać nasz ustrój historyczny. Zapewne, w nowej izbie będzie więcej takich posłów à la Pernerstorfer. Właśnie dlatego potrzeba, aby w niej było jak najmniej — Lewakowskich. Nigdy przedtem najściślejsza solidarność nie była tak koniecznym warunkiem zachowania zdobytej w Austryi politycznej pozycyi naszej, jak obecnie.

Z prasy rosyjskiej.

Od niedawna wychodzący w Petersburgu dziennik *Łucz* (Promień), zamieszcza w ostatnim numerze artykuł taki:

„Pewnego wieczoru, podczas deszczu, stało pod jednym płaszczem ręka w rękę — dwóch młodzieńców: jeden był pielgrzymem, przybyłym z zachodu, niewinna ofiara złego losu; drugi był poetą narodu rosyjskiego, słynącym ze swoich pieśni na północy. Nie od dawna się znali, ale zbliżyli się bardzo — w kilka dni zawiązując przyjaźń. Dusze ich wznosiły się po nad zapory ziemskie, jak dwa pokrewne wierzchołki alpejskie, które chociaż na wieki rozerwane przez potok, zaledwie słyszą odgłosy swego wroga, pochylając ku sobie nadziemskie swe szczyty.

„Poetą narodu rosyjskiego był Puszkin; pielgrzym przybyły z zachodu to Mickiewicz, znakomity poeta polski, autor „Konrada Wallenroda“, „Grażyny“, „Dziadów“.

„W r. przyszłym upływa lat sto od dnia urodzin Mickiewicza i społeczeństwo polskie już obecnie zaczyna przygotowywać się do uczczenia pamięci swego wielkiego pisarza.

„Mniemamy, iż w tej czci wziąć udział powinna — idąc ręka w rękę — również cała inteligentna Rosya.

„Mickiewicz należy do najpopularniejszych w Rosyi n i e r o s y j s k i c h pisarzy. Poezye jego tłómaczyli: Puszkin, Lermontow, Kolcow, oraz mnóstwo mniej znanych tłumaczy. Imię Mickiewicza, które około 1849 r. było jednem z najpopularniejszych w Rosyi — do tej pory nie straciło swej popularności. Mickiewicza dotąd w Rosyi zaliczają do najulubieńszych pisarzy; ma on swoich trwałych wielbicieli, wielu zaś Rosyan uczy się po polsku wyłącznie dlatego, żeby w oryginale czytać „Konrada Wallenroda“. Pomimo, iż w przekładzie rosyjskim istnieje zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza, poszczególne utwory jego ciągle pociągają poetów rosyjskich i ustawicznie ukazują się w coraz nowszych tłómaczeniach. Jeden z tłómaczy Mickiewicza (senator Semionow) otrzymał nagrodę od akademii nauk wyłącznie za swoje przekłady Mickiewicza.

„Istnieje cały szereg rosyjskich prac krytycznych i biograficznych o Mickiewiczu, częścią wydanych oddzielnie, częścią zamieszczonych w dziennikach. Wogóle „literatura Mickiewiczowska w Rosyi“, jak świadczy między innemi długi spis bibliograficzny, ułożony przez Ponomarowa — jest nadzwyczajnie bogata. Jednem słowem — Mickiewicz jest poetą tak b l i z k i m Rosyi, że Rosya w zamierzonem przez Polaków święcie Mickiewiczowskiem zajmie miejsce — może „nieproszonego“, lecz uprawnionego i być może nader drogiego gościa.

„On wpośród nas żył,
Wśród plemienia obcego; złości
W swej duszy ku nam nie żywił...
Myśmy kochali go. Cichy, dobry,
On uczęszczał na nasze biesiady,
Z nim dzieliliśmy się marzeniami,
Pieśnią...
On mówił o czasie i przyszłości,
Kiedy narody, zapomniawszy gniewu,
W jedną złączą się rodzinę...
Myśmy go z żarem słuchali“...

„Wszak pamiętacie, zapewne, ten piękny utwór Puszkina, poświęcony Mickiewiczowi. Czyż utwór ten i przyjaźń, choć krótkotrwała, co obydwóch poetów połączyła, oraz popularność Mickiewicza w Rosyi, nie nakazują wziąć udziału w hołdzie dla wielkiego poety?

„Przypomnijcie sobie jeszcze ostatnie wiersze Puszkina:

„Boże przywróć
Twój pokój w jego zagniewaną duszę!

„Otóż te dwa wiersze, zastosowane do całego narodu polskiego, powinnyby stanowić jeden z głównych motywów, dla których Rosyi nie należałoby się odsuwać od uczestnictwa w przyszłem święcie narodu polskiego. Można śmiało rzec, iż udział przedstawicieli rosyjskiej literatury i nauki w hołdzie, jaki Polacy złożyć pragną poezie swemu w setną rocznicę urodzin jego — udział, którym w realny sposób dowiódł szacunku i przyjaźni, więcejby zaszczepił „pokoju“ w „zagniewaną“ na Rosyan

---

5)

UNIA ŚWIĘTA.

(C i ą g d a l s z y).

Po cudownej obronie Częstochowy, Szwedzi ustąpili prędko z kraju, król powrócił z wygnania, złożył Matce Boskiej śluby w katedrze Lwowskiej i — dalsze trwały wojny dla obrony od nieprzyjaciela.

I znów po ustaniu tej klęski zabłysła na chwilę dla Polski nadzieja pojednania się z Kozaczyzną. Szalona Kozaczyzna, uczuwszy nad sobą żelazną dłoń Moskwy, wiła się jak opętana, żałując dawnej swobody, i to ku Turcyi, to do Tatarów wyciągała rękę; przyszła jej też chwilowo (pod hetmanem Wyhowskim) chimera pojednania się z Polską. Więc znowu „J a n K a z i m i e r z k r ó l S z w e d ó w, G o t ó w, W a n d a l ó w etc.“ z całym senatem podpisał zatwierdził, zaprzysiągł całkowite skasowanie Unii, w u g o d z i e h a d z i a c k i e j r. 1658 r.

Następstwem Ugody Hadziackiej była nowa wojna z Moskwą. Trzy armie ogromne trzema drogami wysłał car Aleksy na podbicie Polski. Głowa świata prawosławnego znów podnosiła się przeciw katolicyzmowi.

Dopiero teraz przyszło na Polskę opamiętanie. „Hola! dosyć tych ustępstw dla schizmy“ — odezwał się jakiś głos w Senacie: „uważamy, że ilekroć poświęciliśmy Unię na rzecz schizmy, zawsze nas za to Bóg karał.“

Był to głos niby proroczy i zaznaczał zwrot zbawienny w poglądach na Unię. Teraz już Polska oddała się w opiekę Patrona Unii, poszła w bój z wojskiem Aleksego i odniosła trzy świetne zwycięstwa: pod Lachowicami, Konotopem i Cudnowem.

Hasłem boju pod Lachowicami 1660 r. było imię „J o z a f a t“.

Wiadomość o tym tryumfie czytana była w Warszawie, w senacie; król i senatorowie byli nią do głębi poruszeni, i postanowili prosić Papieża o kanonizacyę Męczennika [1]).

Takie to dziwne rzeczy okazał Bóg podczas tej walnej rozprawy schizmy północnej z Unią. Godny też uwagi fakt z owych czasów, który się zdarzył z patryarchą moskiewskim Nikonem, najznakomitszym jakiego posiadała Moskwa. Był on człowiekiem wysoce wykształconym — zasłynął ważnem swem dziełem, poprawienia ksiąg duchownych, a był przytem bardzo miłosiernym. Odwiedzając wedle zwyczaju swego więźniów, ujrzał między nimi jeńca z Polski, unitę trzymającego książeczkę do nabożeństwa w ręku, a w niej obrazek św. Jozafata. Oburzony, wydarł więźniowi książeczkę z ręki, rzucił ją o ziemię i podeptał nogami. W tej chwili jednak coś mu się stało: zaniemógł tak, iż go na poły martwego odwieziono do domu. Odtąd też dziwna w nim zaszła przemiana. Jaka? Nie wiadomo. Dość tylko, że wkrótce potem stracił łaskę u cara, a w kilka lat potem, gdy go jako oskarżonego sądzili na synodzie dwaj inni patryarchowie, odezwał się głośno, wobec Rosyi całej, że „nikt go nie ma prawa sądzić, chyba jeden Papież rzymski“. Był tedy w sercu unitą i prawdopodobnie za to został złożony z urzędu, poszedł na wygnanie do monasteru nad morzem Białem i umarł też na wygnaniu.

Niemniej podziwu godną rzeczą jest widzieć, jakie skutki na ludzie ruskim wywarła ta wielka rozprawa schizmy moskiewskiej z Unią. „Rzecz szczególna — powiada J. Bartoszewicz*) — że Unia nigdzie się tak doskonale nie przyjęła jak na pograniczach od Moskwy. Za każdym upływem najazdu carskiego biskupi i arcybiskupi nastarczyć pracy nie mogą w Połockiem i Smoleńskiem. Ludność cała kwapi się, drży do Unii, zmuszona chwilowo przez Moskwę do odstępstwa, powraca do Kościoła z tem gorętszą miłością i wiarą, im mocniej kiedyś za nią cierpiała. Mamy wiele listów, z których widać, jakie tam zawsze żniwo było wielkie, *messis magna* piszą, dla winnicy pańskiej po odejściu moskiewskiem.

Było w tem *signum* wielkie dla Cerkwi moskiewskiej. Już wtedy mogła się snadnie przekonać, że walka jej z Unią na nic się nie przyda, że walcząc przeciw Świętemu Zjednoczeniu, walczy przeciwko samemu Bogu.

Nie przekonało jej to jednak — i nie na tem tylko miały się skończyć jej napaści na Unię. Niestety, miały się one nieraz jeszcze powtórzyć w przyszłości. Tym razem jednak Opatrzność sama odwróciła tę grozę od Unii. Wojny z Moskwą zakończyły się nareszcie zawartym w r. 1667 pokojem A n d r u s z o w s k i m, w którym Kijów i całe Zadnieprze odstąpione zostały Moskwie.

Tak ucichły wreszcie te burze, które miotały nawą Unii przez większą część XVII wieku, i owa wielka walka z schizmą mogła się uważać za ukończoną; zakończyło się owo straszne przesilenie na Wschodzie Europy, po którem Polska wyszła obcięta, złamana, chylącą się do przepaści, a natomiast wychylać się na świat poczęła przyszła wielka, potężna, zwycięska Rosya. O Unii teraz można było rzec to samo, co Szyller w „pieśni o dzwonie“ mówi o ojcu rodziny po przebytej klęsce: „Er zählt die Häupter seiner Lieben“. Choć takie potrzaskały ją gromy, to przecie mogła mieć tę pociechę, że oprócz utraty Kijowa i Kozaczyzny, nic zresztą nie postradała w tej burzy, pozostała po niej taką prawie jak wprzódy była: „nie zabrakło jej żadnej głowy“.

Było w niej jako i pierwej 7 biskupstw, (oprócz Smoleńskiego). Metropolitą, a równocześnie Arcyb. Połockim był Gabryel Kolenda, w Brześciu był biskupem Benedykt Gliński, w Pińsku Marcyan Białozor, w Chełmie Jakób Susza, w Przemyślu Prokop Chmielowski. Nominalnym Arcyb. Smoleńskim był (po And. Kwaśnińskim) Michał Paszkowski.

Najznakomitszym z nich wszystkich był bezprzecznie biskup Chełmski Susza, mąż prawdziwie apostolski, któremu oprócz wspomnianej sprawy pod Beresteczkiem i życiorysu S. Jozafata zawdzięcza Unia obronę swą wobec Rzymu po nieszczęsnych paktach Hadziackich tudzież znakomite dzieła historyczne o Unii jako to:

1) „De laboribus Unitorum“

2) Saulus & Paulus Ecclesiae Ruthenae (żywot Smotryckiego)

3) Phönix tertiato redivivus (Historya cudownego Obrazu Matki Boskiej w Chełmie.

* * *

Jak po przebytej nocą burzy nastaje pogodny ranek, tak po tych wojnach nastała dla Unii chwila cicha, pełna błogiego pokoju — i oto teraz dziwny oczom przedstawił się widok. Jakaś niezwykła uroczystość: światła, chorągwie, tysiące ludu; strzelają z dział, biją w dzwony...

To święty Jozafat tak powraca ze Żmudzi do swego Połocka (po 14 latach niebytności) a z nim w tryumfie kroczy zmartwychpowstała Unia!

Opis tej uroczystości przytaczamy wedle autora żywotu św. Męczennika: *).

„Podróż Kolendy ze zwłokami błog. Jozafata była tryumfalnym pochodem. Przebywał całą Litwę i część Białorusi, okolice zamieszkałe przez samych prawie unitów; w całym tym obszarze mieli schizmatycy 70 cerkwi, a unici liczyli je na tysiące. Krwawe prześladowanie utwierdziło wiarę ludu: zbiegano się tłumami dla oddawania czci szczątkom Męczennika. W Żyrowicach, w owem miejscu tak drogiem Jozafatowi, zatrzymano się czas jakiś. Wilno, (które co tylko było przyjęło zwrot relikwij św. Kazimierza z rąk samego króla), przygotowało również świetne przyjęcie dla błog. Jozafata. Za bramą trocką, pod złocistym namiotem, złożono święte zwłoki na wspaniałym tronie, otoczonym tysiącem świateł i tam przez cały ranek odprawiali Msze św. wszyscy dygnitarze kościoła, a resztę dnia i w nocy nawet rozlegały się śpiewy, pod strażą wojska koczującego przy ogniskach palących się w polu. Dnia 25-go września wprowadzono relikwie do miasta. Arcybiskup Kolenda z pięcioma biskupami, całem duchowieństwem miejscowem jako też z wszystkimi dygnitarzami uczestniczyli w tej uroczystości. Odprzężono konie od wspaniałego karawanu, a lud i szlachta ciągnęli wóz do miasta. W ulicach, kędy orszak prz chodził, domy wspaniale przybrane, bito w dzwony nawet w cerkwiach schizmatyckich. U bramy cerkwi św. Trójcy wzięli trumnę na barki biskupi i wnieśli ją do tego przybytku, gdzie się modlił przed laty cichy i nieznany zakonnik.

„Przez 15 dni wystawione było ciało świętego w cerkwi, a każdy tam szedł, zanosząc prośby swoje i polecając się opiece błogosławionego. Aby ten zapał ostudzić, schizmatycy rozpuścili byli pogłoskę, że ciała Jozefata już nie ma, i że unici nakładli kamieni do tej trumny, którą do Wilna tak uroczyście wprowadzili. W odpowiedzi na to kazał Kolenda wystawić ciało odkryte w kościele i przez cały tydzień mógł je każdy widzieć i przekonać się, że było w całości. Liczne uzdrowienia i nawrócenia okazały w tych dniach moc Męczennika; nawet jedno dziecko zmarłe ożyło wskutek modlitw zanoszonych do świętego. Zaczem postanowiono dalszy pochód odprawić. Z Wilna do Połocka jest mil pięćdziesiąt. Na całej tej przestrzeni lud zbierał się tłumnie, witając Jozafata jako ojca i oswobodziciela. Jego powrót był znakiem odrodzenia Unii. W samą rocznicę śmierci dnia 12 listopada (1667) stanęło ciało w Połocku. Przyjęcie było bardzo rzewne, zdawało się, że ojciec wraca do swych dzieci. I skoro Jozafat zajął na nowo miejsce swoje w kościele św. Zofii, zaczęli jak dawniej gromadzić się u jego grobu pielgrzymi, i tu znowu okazały się cuda i nawrócenia“.

X. P. F. Krypiakiewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) O. Guepin Żywot św. J.

*) Hist. Kośc. Ruskiego w Polsce.

*) Dom Guépin.

duszę polską, aniżeli dziesiątki i setki artykułów dziennikarskich, teoretycznie rozprawiających o „zbliżeniu“.

„W swoim czasie, kiedy Polacy obchodzili jubileusz pięćdziesięcioletnej działalności Kraszewskiego, zmarły Turgeniew sam jeden z całej Rosyi odezwał się podczas uroczystości i na ręce Spasowicza przysłał jubilatowi pismo gratulacyjne. Ileż radości, ile nadziei pismo to wywołało wśród Polaków. Ilu „zagniewanym“ rozjaśnił się „pokój“, pamiętają zapewne liczni uczestnicy jubileuszu. Jeżeli list *jednego* tylko, chociaż wielkiego pisarza, mógł zdziałać tyle,— to co mówić o hołdzie względem Mickiewicza, jeżeli nie *całej* Rosyi inteligentnej, to przynajmniej znacznej jej części. Taki fakt niezawodnie spowoduje olbrzymie a tak pożądane rezultaty pojednania.“

List do Redakcyi.

(*Skarby ziemne.*)

W powiecie grybowskim, o 3—5 kilometrów drogi pod miasteczkiem Bobowa w stronie południowo-wschodniej, leży obszerna wieś Stróżna ze swym przysiółkiem, zwanym sołtystwem Siarówką. Już sama nazwa tego sołtystwa naprowadza na domysł, że ludność tutejsza uderzoną kiedyś była jakiemiś objawami może mineralnemi, a może i ropnemi.

Tak rzeczywiście było i jest.

Najpoważniejsi staruszkowie tak z tutejszej inteligencyi jak i z ludu, opowiadają mi, że z dawien dawna grunta w Stróżnej na Siarówce i w sąsiedniej okolicy uważają jakoby przesiąknięte naftą i przepełnione rozmaitą solą.

Ubiegłej jesieni wybrałem się tam pewnego razu sam jeden, na spacer.

W istocie, gdym przybył na miejsce, każdy chłop, dziewoja, każde dziecko, to samo mi z różnymi dodatkami opisywali.

Najwięcej mają do opowiadania właściciele kilkuset tych morgów gruntu: Jan Gnewa i Antoni Garbowski, którzy już wszystek prawie wydzierżawili różnym osobistościom, mniej, więcej, lub wcale niezamożnym, celem kopania i świdrowania ziemi za ukrytymi w niej skarbami.

Teren miejscowości jest dosyć płaski, z doliną zarośniętą drzewami. Od wschodu, południa i zachodu widać kilka skalistych pagórków z małym laskiem na boku.

Jan Gnewa pokazywał mi na swoim gruncie dwie obok siebie, przez naturę trochę zagłębione miejscowości, napełnione wodą, gdzie najwyraźniej widać kilka tryskających źródeł tejże. Smak wody jakiś niesmaczny.

— E, szkoda, że pan konsyliarz nie dał mi znać przedtem, choć ze 2 godziny, że tu dziś będzie, to byłbym tę wodę z wierzchu wybrał aż do samego piasku na spodzie, a to, cobym stamtąd nabrał do garnczka, zapalone, byłoby się paliło jak ropa.

— Naprawdę?

— A jużci. Tośmy to tu już nieraz próbawali. Oj, żal mi... byłbym pokazał, bo to warto widzieć.... Ale niech no pan teraz idą ze mną.

I zaprowadził mnie o kilka kroków dalej, zaraz za strumykiem, do deskami ocembrowanej studni, zdjął z niej drewniane, dla bezpieczeństwa umieszczone nakrycie i powiedział:

— Tu jeden bobowiak, dawno już temu, kopał. Ale cóż, kopał, a nie wiercił, bo nie miał na maszynę pieniędzy. Jak się dokopał w głębi 40 łokci, trafił na skałę i ani rusz dalej. Robotnik kopiący na spodzie czy chciał świeczkę lub cygaro zapalić, potarł patyczek, by go zaświecić, a tu jak hukną gazy, jak strzeli, to tak, jakby harmata wywaliła! Robotnika bardzo pokaleczonego z trudem wydobyli. Oj, chorował ci on długo a długo, no, ale się w końcu i obaczył (t. j. wyzdrowiał). Bobowiak ów, przekopawszy tak trochę grosza na próżno, ustał i dał wszystkiemu pokój. Inni choć grunta od nas powydzierżawiali nie robią także nic, nie kopią, bo nie mają za co, a człowiek biedny czeka i czeka za jakimś zarobkiem.

Potem mi Gnewa nabrał wody z tej studni do spróbowania. Wyglądała czysto, koloru nie miała żadnego, ale smak — odrażający, słony, z przymieszką jakby zapachu ropy.

I Gnewa i wszyscy wieśniacy, z którymi się tam wówczas spotkałem, aż ręce do nieba wznosili, żeby się też kto zjawił z pieniędzmi, a jak się należy zaczął kopać i świdrować tę ich ziemię, dając im przy tem, jako najemnym pracownikiem, zarobek. Ręce i nogi mają krzepkie a zdrowe, twarze poczciwe, tylko zarobku nie mają. Bieda ich gniecie... A może miliony mają pod stopami!

Jest wszelkie prawdopodobieństwo — że tak jest.

Ludzie specyalnie naukowi, znani w szerokim świecie uczeni inżynierowie i geologowie, obeznani wzorowo z pokładami warstw ziemnych, z jej siodłami, łupkami, szczelinami piaskowca, uskokami, źródłami i t. p. orzekli zgodnie, jeden po drugim, że w Stróżnej, zwłaszcza na Siarówce, poważnie spodziewać się można odkrycia ropy.

Rozumie się, nie w 40 łokciach, ale znacznie głębiej i głębiej tak, jak się to stało przy innych istniejących źródłach nafty. Od stu kilkudziesięciu do 300 metrów głębokości i więcej.

Panowie i Panie! Mamy różne, nieprzeliczone skarby w łonie świętej ziemi naszej. Jeżeli macie materyalną możność do tego, wydobywajcie je. Wy, jako dzieci tej ziemi, posiadacie prawo do niej, większe niż obcokrajowcy, urągający nieraz naszej nazwie, naszym ojcom i matkom. Więc w imię wielkich obowiązków, w imię przeszłości i popiołów naszych poprzedników, idźmy naprzód z pracą i nauką, a uszczęśliwimy cały naród. Dając godziwy zarobek naszemu ludowi i naszym rękodzielnikom, pozyskamy ich serca, przygarniemy ich do siebie, a sami staniemy się silniejsi. Bieg wieków tego wymaga. To obecnie nasz Grunwald, Chocim, Wiedeń i Samosierra! Pokażmy wszystkim i wszędzie, żeśmy nietylko na polu orężnem, ale na każdem, zatem i na ekonomicznem, nieodrodni synowie tamtych bohaterów!

Bobowa d. 14 stycznia 1897 r.

Dr. Franciszek Gumowski.

Polowanie na kresach cywilizacyi.

Uboga nasza literatura podróżnicza wzbogaconą została w roku bieżącym dziełem dr. Józefa Siemiradzkiego pod tyt.: „Na kresach cywilizacyi“, listy z podróży po Ameryce południowej, odbytej w roku 1892 (Lwów, drukarnia Związkowa). Dzieła tego nie możemy lepiej zalecić czytelnikowi, jak dając mu z niego parę ciekawych wyjątków. A że właśnie żyjemy w porze polowań, nie od rzeczy będzie naszym łowcom pokazać, na jakiego zwierza poluje podróżnik w południowej Argentynie i północnej Patagonii.

Polowanie na łabędzie. Podróżnik nasz tak pisze w toku swego opowiadania: Na jeziorze pływało spokojnie spore stadko białych łabędzi z czarnemi końcami skrzydeł, należących do rzadkiego i cenionego po muzeach gatunku (Cygnus coscoroba). Rozbiegliśmy się na wszystkie strony, w nadziei, iż niepłoszone przez myśliwych w tem ustroniu, łatwo podejść się dadzą. Kryjąc się wśród zarośli, pełzając na brzuchach przez krzaki cierniowe, chowając się za kępy i wydmy piaszczyste,, zdołaliśmy się zbliżyć do skraju zarośli, o jakie 100 kroków od żerującego spokojnie stadka, a krzak mimozy, blisko brzegu rosnący, dawał nam możność zbliżenia się niepostrzeżenie na strzał do upragnionej zdobyczy.. Lecz zapomnieliśmy o... czajkach! Niesnośne te, ciekawe a czujne ptaki, od chwili, gdyśmy się tylko z zarośli wysunęli, nie przestawały krążyć nad naszemi głowami, muskając nas prawie skrzydłem, z przeraźliwym swym krzykiem „téru-téru“. Łabędzie skorzystały z ostrzeżenia i spokojnie odpłynęły ku środkowi jeziora. Manewr nasz powtarzaliśmy kilkakrotnie, z jednakowym skutkiem, a że wyszliśmy na ptactwo, — żaden z nas nie wziął ani sztućca, ani nawet loftek ze sobą. Strzeliliśmy wprawdzie parę razy grubym śrutem, ale okazałe ptaki nawet uwagi na nas nie raczyły zwrócić.

Rozamiętniony widokiem uciekającej z rąk z olimpijskim spokojem zdobyczy, porwałem się na równe nogi i ruszyłem w wodę, prosto ku łabędziom. Jezioro było płytkie co prawda, lecz dno miało grząskie, a łabędzie najspokojniej gęgając, cofały się w zwartym szeregu zawsze pod brzeg przeciwny temu, gdzie na nie czatowano... Wypuściwszy wszystkie naboje za niemi, zabiliśmy ze złości parę wrzaskliwych czajek, lecz nie zdołaliśmy nawet zmusić łabędzi do opuszczenia stawu.

Następnego dnia powróciliśmy, uzbrojeni tym razem w dalekonośne repetyerowe sztućce, ale po niewczasie: zwierzyny już na jeziorze nie było. Tego gatunku łabędzi nie spotkałem już potem ani razu, pospolitym jest bowiem inny: łabądź czarnoszyjny (Cygnus nigricollis).

Polowanie na guanaki (lamy): Pozostawiwszy konie w opuszczonej osadzie, w jednej z dolin poblizkich, zapuszczamy się zbrojni w dalekonośne sztućce, w skalisty parów, z którego dolatuje nas dalekie rżenie guanaków. Spostrzegamy istotnie wkrótce w odległości pół kilometra, sylwetkę ogromnego samca, widocznie wartownika, ukrytego w jakimś dołku poblizkim stada. Stał nieruchomie jak posąg, z wyciągniętą ku nam kształtną szyją, na najwyższej przełęczy. Ponieważ wiedziałem, iż za grzbietem tym leży pionowa, nawet dla guanaków niedostępna przepaść, i odwrót, w tamtą stronę był dla zwierza niemożliwym, należało mu odciąć drogę w obie strony. O zbliżeniu się niepostrzeżenie nie mogliśmy myśleć — widział nas bowiem, gdyśmy do wąwozu wchodzili. Po kwadransie uciążliwego gramolenia się po skałach, znaleźliśmy się 300 metrów od zwierza, który niespokojnie kręcić się zaczął, wietrząc nieprzyjaciela. Celny strzał położył go trupem na miejscu.

Był to stary samiec, wielkością dorównywający małemu koniowi, choć długie, wielbłądzie nogi i nadzwyczaj długa szyja znacznie wyższym go czyniły. Z wielkim trudem, zlani potem, zdołaliśmy ciężką machinę we dwóch zwlec na dno doliny, gdzieśmy zdobycz naszą przewiesili przez siodło jednego z koni i w tryumfie do obozu zawieźli.

Guanaki tutejsze nie schodzą nigdy na równinę, unikając starannie miejsc krzakami porosłych. Obyczaje ich zupełnie podobne do sposobu życia kozic. Dziwić się należy, jak jedno i to samo zwierzę umiało się przystosować do całkowicie odmiennych warunków: w górach i na czystym stepie. Podobnem rozmieszczeniem geograficznem odznacza się również i struś patagoński (Rhea Darwini), żyjący zarówno na stepach jak w Kordylierze, na wysokości paru tysięcy metrów.

Jedynemi mieszkańcami skalistej pustyni są stada guanaków, których donośne, srebrzyste rżenie często słyszeć się daje, a galopujące sylwetki na najdzikszych szczytach spostrzedz można. Ruchami swemi guanako przypomina kozicę, której jakaś swawolna wróżka przydłużyła nadmiernie szyję. Mało tutaj płoszone, Indyanie bowiem w swych wyprawach myśliwskich strony te omijają, jako nieodpowiednie do polowania z chartami, są one nader łaskawe i dają się z łatwością podjechać na odległość kilkudziesięciu kroków, uciekając w powolnym galopie lub z wyciągniętą ciekawie szyją przypatrują się naszej karawanie.

Polowanie na skunksa. Podłożywszy kulbakę pod głowę, otulony burką, drzemałem właśnie, gdy śpiący przy mnie ulubiony chart zerwał się, warcząc; w tej chwili rozległ się wystrzał i ujrzałem Filipiaka (służącego) z tryumfującą miną podnoszącego coś z ziemi. Przy świetle księżyca z daleka już poznałem w upolowanej zwierzynie skunksa (Mephitis patagonica), krzyczę więc Filipiakowi, żeby go cisnął jak najdalej, bo nas na całe miesiące zapowietrzy. Kucharz mój jednak, mający powonienie niezbyt czułe i mało biegły w zoologii, zachwyca się dalej pięknem czarnem futerkiem w białe prążki i obraca swoją zdobycz na wszystkie strony.

— Rzuć to do dyabła! — krzyczę mu zniecierpliwiony.

— Kiedy, proszę pana, to takie ładne; byłoby na mufkę dla żony... W całym Włocławku takiej nie ma!

Nareszcie jednak i Filipiak zaczyna odczuwać, że zapach skunksa ma mało wspólnego z perfumami, i ciska go do jeziora. Szczęściem jeszcze zwierzę zabite na miejscu, nie miało czasu smrodliwej swej cieczy wypuścić. Wszystko wraca do dawnego porządku. Mija wszakże zaledwie kilka minut, gdy warczenie Kruczka i dwa strzały z dubeltówki znowu nas alarmują. Chwytam za karabinek, myśląc, że nas Indyanie napadli; i cóż widzę? Oto Filipiak ugania się za postrzelonym skunksem, okładając go kolbą. Tym razem zwierzątko, broniąc się rozpaczliwie, pokazało w całej pełni, co potrafi. Psy, stuliwszy ogony, skomląc i czmychając, uciekają. Filipiak ciska nową zdobycz jak może najdalej i idzie spać, nabiwszy ponownie lankastrówkę.

Polowanie na strusie. W lecie polowanie na te ptaki jest bardzo trudne, choć wiele ich się spotyka, a co do mnie, przyznaję ze wstydem, że wypuściwszy z odległości 200 do 300 metrów kilkadziesiąt kul za strusiami, nie upolowałem żadnego.

Polowanie na lwa pumę. Lew tutejszy (puma), bardzo w całej Patagonii pospolity, nie posiada wprawdzie odwagi i siły swego afrykańskiego imiennika; dorasta jednak rozmiarów wcale pokaźnych i w stadach owiec wielkie czyni spustoszenia. Różni się on także od leśnej pumy podzwrotnikowej barwą; sierść jego bowiem nie jest, jak u tamtego ruda, lecz prawie popielata.

Podczas mego pobytu w Kollon-Kura, kilkakrotnie przynoszono mi świeże skóry tego zwierzęcia, nareszcie udało się pewnego dnia wytropić w pobliżu osady legowisko pumy, na którą urządziliśmy w liczniejszem towarzystwie kilku sąsiadów wyprawę myśliwską. Wyruszyliśmy konno, uzbrojeni tylko w „bolas“, rewolwery i noże, główną bowiem rolę w polowaniu odegrać miały psy. Było ich sześć — rosłych mieszańców charta z dogiem i psem indyjskim — jak większość psów w Patagonii napotykanych.

Szukaliśmy niedługo. Dzień był skwarny, lew wypoczywał w cieniu gęstej kępy zarośli mirtowych, dokąd wyraźnie na piasku odciśnięty trop jego prowadził. Psy, poczuwszy bliskość zwierza, najeżyły sierść i ostrożnie warcząc, zbliżać się poczęły do krzaków, oglądając się nieustannie na nas, czy za niemi dążymy i jakby nabierając otuchy w sąsiedztwie ludzi.

W chwilę później ujrzeliśmy zwierza, jak stuliwszy ogon i oglądając się trwożliwie, jak zając pomykał po kamienistej równinie. Nie miał zaprawdę w sobie nic z królewskiego majestatu, lecz wyglądał raczej, jak zwykły kot domowy, szczuty przez charty. Psy, bez hałasu puściły się za nim, jeźdźcy z wrzaskiem dojeżdżać go poczęli, wywijając uwiązanemi na długim rzemieniu kulami (bolas). Pościg trwał najwyżej kwadrans. W jednej chwili zakotłowało na miejscu, a siwa skóra pumy znikła pod ruchomą warstwą szarpiącej ją zewsząd zgrai — tylko długi ogon, jakby przygnieciony do ziemi, wystawał z tej kotłującej się kupy. Jeden z gauczosów, który pierwszy dopadł zwierza, boleadorem (złożonym w ten sposób, iż tworzył niejako długą na metr maczugę rzemienną, zakończoną dwiema związanemi kulami kamiennemi, gdy trzecią kulę zamiast rękojeści trzymał w ręku), począł bić pumę po głowie, wywijając bronią swą młynka z dołu do góry. Gdyśmy z kolei nadbiegli, lew już nie żył, a rozjuszone psy poszarpały go w tak okropny sposób, że ze skóry strzępki tylko pozostały.

Wszyscy myśliwi świadczą zgodnie o tchórzostwie pumy; o wypadkach z ludźmi nie słyszałem nigdy, a p. Stanisław Rechniewski, naczelnik rządowej wyprawy argentyńskiej do Santa Cruz w południowej Patagonii, opowiadał mi, iż był naocznym świadkiem polowania na pumę dwóch Indyan Tehuelczów, bez psów, jedynie uzbrojonych w bolas. Ścigają oni zwierza konno aż do zmęczenia, poganiając batem, a gdy wreszcie lwa osadzą, jeden z jeźdźców, zeskoczywszy z konia, chwyta go za ogon, ciągnąc go nagłym i szybkim ruchem w tył, gdy jednocześnie drugi z konia uderzeniami ciężkich kul kamiennych go ogłusza.

Boleador, w języku Araukanów „Łaj“, jest bronią wyłącznie właściwą Patagończykom i Araukanom, oraz sąsiadującym z nimi gauczosom. Składa się on z trzech kul, mających od jednego do dwóch cali średnicy, wyrobionych stosownie do użytku, do jakiego służyć mają, z kamienia, z ołowiu lub drzewa. Kula każda jest oszytą szczelnie w kawał surowca lub też posiada mosiężną obrączkę i za uszko skórzane przymocowuje się do cienkiego, lecz nadzwyczaj mocnego rzemienia, skręconego z surowej skóry. Trzy rzemienie, zakończone kulami, długie około półtora metra każdy, związują się razem na przeciwległym końcu. Indyanin broni tej używa jako procy lub maczugi. W pierwszym wypadku, trzymając w prawem ręku jedną z kul, nadaje broni swej ruch wirowy, a gdy nabyła dostatecznego pędu, ciska kulę, trzymaną w ręku, w kierunku żądanego celu. Bolas rzucone w ten sposób, tworzą w powietrzu wirujący w kierunku rzutu trójkąt, o bokach mierzących około dwóch metrów. Wystarcza, aby którykolwiek z rzemieni dotknął celu, aby go natychmiast wszystkie trzy kule mocno oplątały, obalając trafionego zwierza na ziemię. Indyanie tresują z tego powodu swoje konie w specyalny sposób, ucząc je galopować ze spętanemi nogami zadniemi — ma to na celu obronę od pocisku „bolas“, jeśli bowiem koń przez nie spętany nie upadnie, jeździec, schyliwszy się pod brzuch wierzchowca, ma możność przecięcia nożem krępujących go rzemieni boleadora. Chcąc użyć „bolas“ jako maczugi, skręca się je w sposób podobny jak linki strażackie, tak, aby dwie kule były ze sobą mocno związane, gdy trzecia służy za rękojeść. Do polowania i wojny używają się kule ciężkie, kamienne lub metalowe; na strusie — małe kulki żelazne lub ołowiane; wreszcie duże kule drewniane (potreras) służą do chwytania znarowionych koni.

Polowanie na dzikie krowy. Stado krów żyje niekiedy w stanie zupełnej dzikości, tak, iż zaganiać się pastuchom do zagrody nie daje wcale, a ilekroć wypadnie potrzeba zaopatrzenia się w świeże mięso dla kuchni, należy urządzać na nie polowanie podług wszelkich prawideł sztuki myśliwskiej. Przyznaję się, że trochę mi się śmiać chciało, gdyśmy we dwóch ostrożnie podjeżdżać zaczęli stado krów, pasące się w oddali, kryjąc za krzaki i skały, z winchestrami w ręku, gdy jednocześnie gromada psów nam towarzyszących, zabawiała zwierzynę ujadaniem. Zbliżywszy się na odległość stu kroków, strzeliliśmy razem do wybranej krowy, która lekko raniona, zamiast uciekać, rzuciła się na nas z całą furyą. Gdym ujrzał ostre jak bagnety rogi o kilka kroków od siebie, śmiać mi się odechciało, i wymierzywszy między oczy, drugą kulę puściłem, lecz zwierzę twarde miało życie: podziurawione kulami, obficie krwią broczące, krowa jednem wierzgnięciem wyrwała się z zębów skowyczącej zgrai brytanów i znowu do mnie skoczyła. Dopiero kula, wsadzona w czoło z odległości kilku kroków, położyła ją trupem. Sługa ze zręcznością gauczosa zabrał się do oprawienia zwierzyny i zanim nadjechał parobek z jucznemi mułami po mięso, już kawał pieczeni rumienił się nad ogniskiem. Krowy wszakże przez psy podrażnione, nie okazywały bynajmniej pokojowego usposobienia i raz jeszcze byliśmy przedmiotem szarży zaciekłej jakiejś kraciastej jałówki, od której sługa ratował się ucieczką na koniu, ja zaś, zaskoczony znienacka przy ognisku, miałem przez chwilę mniej przyjemne wrażenie, widząc rogaty łeb rozłoszczonego bydlęcia o parę metrów od siebie i nie mając broni pod ręką, karabinek bowiem wisiał przy siodle opodal stojącego wierzchowca. Ognisko, psy i nadbiegli na odsiecz ludzie konni obronili mię szczęśliwie. Od tego czasu wszakże nabrałem szacunku dla dzikich krów patagońskich.

Polowanie na zdziczałe źrebce. Od towarzyszących transportowi żołnierzy dowiedzieliśmy się, iż w okolicy Kollon-Kura chodzą trzy dzikie źrebce (bagulaes), na które oddawna bezskutecznie polowano. Jako objaśnienie dodać muszę, iż dzikie konie są postrachem kolonistów, często bowiem się zdarza, iż zmięszawszy się z napotkaną stadniną, całe stado uprowadzają z sobą. Ztąd, gdziekolwiek się pojawią, tępią je bez miłosierdzia.

Zorganizowaliśmy natychmiast wyprawę myśliwską z kilkunastu osób, z których tylko dwie były zaopatrzone w broń palną, reszta zaś w „bolas“ i arkany.

Wyjechawszy w step wysoki, po nad którym panowały pojedyńcze góry, suchą trawą porosłe, niezadługo dostrzegliśmy w samej rzeczy trzy konie, które, pasąc się na wyniosłości, widziały nas doskonale, i znać było po ruchach ich niespokojnych, iż czuły w nas nieprzyjaciół.

Rozciągnęliśmy się szeroką ławą w zamiarze osaczenia zwierzyny pierścieniem około pół mili szerokim, poczem ruszyliśmy jednocześnie do środka, tworząc tak zwany w myśliwskiej gwarze „kocioł“. Grunt nie sprzyjał polowaniu „par force“, zewsząd bowiem sterczały najeżone ostre głazy lawy, niby pole olbrzymich żużli, po których zwolna tylko, stępo m gliśmy się posuwać.

Zbliżyliśmy się w ten sposób na odległość 500 metrów do trójki koni, które z rozwianą grzywą i rozwartemi chrapami harcowały w miejscu, nie mogąc się zdecydować na krok stanowczy. Wreszcie, jakby porozumiawszy się z sobą, kopnęły się całym pędem w moją stronę, ośmielone widocznie brakiem psów w tem miejscu, zaciskającego się coraz szczelniej pierścienia.

Na czele pędził jak wicher piękny wilczaty ogier z głową do góry podniesioną, odsadziwszy wspaniale bujny ogon, za nim podążały, zaledwie dotykając ziemi, sadząc z niezrównaną lekkością przez ostre głazy, dwie kasztanowate klacze. Wierzchowiec mój, stary i spokojny, zastrzygł uszami i dęba stanął, okazując niekłamaną chętkę puszczenia się w zawody z niemi. Konie pędziły wprost ku mnie, a że znajdowałem się właśnie na wąskim przesmyku pomiędzy wyższemi skałami stratowałyby mnie niechybnie. Nie zsiadając z konia, puściłem z Winchestra pierwszą kulę wilczatemu ogierowi, który, ugodzony w piers, wspiął się w szalonym skoku śmiertelnym i runął mi pod nogi.

Spłoszone klacze rzuciły się w bok i wpadły na kilku gauczosów, którzy je w oka mgnieniu spętali boleadorami, i dopadłszy zbliska, zastrzelili z rewolwerów. Ogier miał pół ucha ucięte, klacze nosiły piętno jednego z dalszych hodowców — oczywiście nie były zatem upolowane przez nasze sztuki końmi dzikiemi, jakich tysiące włóczy się po lasach południowej Patagonii, lecz zdziczałemi osobnikami, które ze stada zbiegły.

Z izby sądowej.

Wiedeń 14 stycznia.

(*Morderstwo za pomocą bomby dynamitowej*).

Na początku procesu, który rozpoczął się wczoraj odczytano akt oskarżenia. Według brzmienia jego rzecz miała się jak następuje:

W dniu pamiętnej burzy, która nawiedziła Wiedeń przeszłego lata, wydarzyła się na ulicy Cesarza Józefa w pracowni ślusarsa Bascha inna katastrofa, której ofiarą padł 17-letni czeladnik Jan Gerstman. Po południu, kiedy sam pracował w warsztacie zjawił się jakiś nieznajomy, który mu wręczył pudełko tekturowe, zawierające niby to model nowej maszyny. Oddawszy pakiet, nieznajomy oddalił się szybko, a Gerstman wziął się do otwierania pudełka. Zaledwie jednak począł odrywać tekturę, nastąpił straszny wybuch, kawałki maszyny piekielnej rozerwały nieszczęśliwemu chłopakowi piersi i żołądek i poraniły mu ciężko twarz i ręce. Gerstman zmarł po dwóch godzinach ciężkich mąk. Przybyły potem majster, dla którego, jak się później pokazało, przygotowaną była owa maszyna piekielna, stwierdzić już tylko mógł śmierć nieszczęśliwego.

Wczoraj odbyła się przed sądem rozprawa przeciwko posądzonym o zbrodnię mechanikowi Fockowi i żonie Bascha. Rozprawom przewodniczył radzca Holzinger. Fock ma lat 34, pochodzi z Neusiedel, wspólniczka jego Baschowa jest 26-letnią żydówką z Węgier. Oskarżenie wniesione przez prokuratora, obwinia Jana Focka, że popełnił skrytobójstwo zapomocą materyałów wybuchowych, a Paulinę Basch, że współdziałała w zbrodni. Współ-wina Baschowej jest tem prawdopodobniejszą, że według wszelkich pozorów Fock utrzymywał stosunki z Baschową już od dłuższego czasu, stąd też zamach zgotowany Baschowi, którego on przypadkiem tylko nie stał się ofiarą, był może z góry przez obu oskarżonych ułożonym planem w celu pozbycia się osoby Bascha. Prócz tego jako dowody przeciwko Fockowi stwierdzono, że posłaniec oddający Gerstmannowi paczkę wyraźnie zaznaczył, że jest ona przeznaczoną dla Bascha. Wiadomo również, że na krótki czas przed zamachem kupił Fock w sklepie Leibenforsta ¼ funta prochu strzelniczego. Wreszcie zeznał świadek Buydi, że na kilka godzin przed eksplozyą, widział Focka, niosącego paczkę w towarzystwie obcego mu człowieka, kierujących się ku ulicy Cesarza Józefa. Trzeba było jednak wyszukać doręczyciela owej paczki a stwierdzoną było rzeczą, że Fock nim nie był. Policyi udało się wykryć owego posłańca. Jest nim niejaki Floryan Hunka, pochodzący z Altstadt na Morawach, który zeznał, iż w dzień zbrodni szedł on ulicą Wallensteina, a nie znając Wiednia, pytał przechodniów o drogę. W tem przystąpił do niego Fock, (którego przy konfrontacyi Hunka poznał) i zapytał go, czyby nie zechciał zanieść paczki do niedaleko stamtąd mieszkającego ślusarza; Fock kazał mu jeszcze na karcie pocztowej napisać adres Bascha, co też Hunka uczynił. W nagrodę za fatygę dał mu Fock 60 ct.

Wtedy Hunka, który niósł ze sobą dość ciężki worek, wszedł do najbliższej bramy, by worek, zanim polecenie Focka wykona, złożyć na chwilę u stróża. Gdy potem wyszedł na ulicę, Focka już nie było. Dowód *alibi* nie udał się Fockowi, gdyż świadkowie Wenger i Cerny, na których się Fock powoływał, że z nimi spędził ów dzień pamiętny, zeznają, iż Fock przybył do nich dopiero po katastrofie. Dowiedzioną jest również rzeczą, że Fock na krótki czas przed zamachem zmieniał ubranie. Jedynym motywem zbrodni jest, jak się zdaje, chęć zamordowania Bascha nie tylko w celu utrzymania stosunków z jego żoną, gdyż te, o ile przypuszczać można, trwały już poprzednio, ale także w celu zagarnięcia majątku, któryby po śmierci Bascha otrzymał, żeniąc się z wdową po nim. Focka nieraz widziano w towarzystwie Baschowej, mówili do siebie: „ty“, a nieraz przedstawiali się jako małżonkowie.

Po odczytaniu aktu oskarżenia wprowadzono pośród wielkiego poruszenia bardzo licznie zebranej publiczności oskarżonych. Fock jest to postać nieprzyjemna, z grubymi ordynarnymi rysami. Towarzyszka jego z ławy oskarżonych jest ładną osóbką z trochę mocno wystającym noskiem i ogólnym wyglądem urwisa w spódnicy.

Na zapytanie przewodniczącego, czy się czuje winnym, odpowiada Fock, że nie. Zeznaje następnie, że z Baszem znał się niedawno i łączyły go z nim stosunki przyjazne. Z oskarżoną Baschową nie miał żadnych bliższych stosunków, nie chodził z nią sam na przechadzki, lecz zawsze w towarzystwie jej męża. Zaprzecza zaś wszystkiemu co zeznawał w śledztwie Hunka. Powiada, że go wcale nie zna, że z nim nigdzie nie szedł w dniu zbrodni, że mu żadnej paczki nie dawał. Kiedy przewodniczący objaśnia go, że go wielu ludzi w towarzystwie Baschowej widziało, Fock odpowiada, że ci, co go widzieli, mylili się. Dama, z którą on chodził, była z prowincyi, nazywała się Marya na imię, ale nazwiska jej nie zna, bo mu go nie chciała powiedzieć. Zeznaje dalej, że dopiero po wypadku był w warsztacie Bascha równocześnie z policyjno-sądową komisyą. Przedtem był u Bascha w domu, bo chciał mu sprzedać świder, ale nie zastawszy go w domu nie poszedł do warsztatu, bo był na to za leniwy i miał tam poprzednio przykre zajście z jednym z czeladników. Co do tego, że zmieniał ubranie wieczorem w dzień zbrodni, to oskarżony nie umie dać na to stanowczej odpowiedzi i z zeznań jego wynika jakoby miał na sobie pół ubioru zwykłego a pół cyklistycznego.

Następnie przesłuchiwano Paulinę Basch, oskarżoną o współwinę w zbrodni. I ona przeczy, jakoby się poczuwała do winy. Zaprzecza również, jakoby między nią a Fockiem było coś więcej nad zwykłe towarzyskie stosunki. O tem, czegoby mógł chcieć Fock od jej męża w dniu katastrofy, nic nie wie; jakoteż o tem, czy Fock był wtajemniczony w stosunki finansowe jej męża. W chwili katastrofy wpadł do jej mieszkania chłopak terminujący w warsztacie jej męża i zawołał ją do warsztatu. Zeszedłszy, znalazła warsztat oblężony ludźmi, a dostawszy się do wnętrza, ujrzała tam nieszczęście już spełnione.

Z kolei przesłuchano kilku świadków, którzy bądźto słyszeli huk wybuchu, bądź byli przy nim obecni, i odczytano relacyę stacyi meteorologicznej o burzy z dnia 1 sierpnia, oraz stacyi ratunkowej, która udzieliła rannemu śmiertelnie Gerstmanowi pierwszej pomocy lekarskiej.

Zeznania czeladników Ehna i Schicka zgadzają się zupełnie co do szczegółów katastrofy i co do tej okoliczności, że widywano często Focka spacerującego z Baschową bez towarzystwa jej męża.

Po wysłuchaniu opinii rzeczoznawców o konstrukcyi bomby i wypełniającym ją materyale zarządzono tajność rozprawy. W rozprawie tajnej przedstawił radca Gyurkovich, który prowadził śledztwo w procesie, bombę sporządzoną przez siebie zupełnie na wzór tamtej, dla udowodnienia, że konstrukcya jej nie była wcale skomplikowaną, i Fok mógł ją sam sporządzić.

Na tem skończono pierwszy dzień rozprawy.

KRONIKA.

Lwów 15 stycznia.

Mianowania. Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował praktykantów sądowych: Bronisława Wojnarskiego, Maryana Błotnickiego, Franciszka Frankowicza, dra Maryana Langa, Stanisława Smagowicza, dra Władysława Groyeckiego, Mieczysława Ajdukiewicza, Aleksandra Różyckiego, dra Karola Jakubowskiego, Wojciecha Ciochonia, Mieczysława Mossora i Józefa Dutkiewicza; tudzież kandydata adw. dr. Bronisława Kreisla i adjunkta sądowego w Serajewie Teofila Tomickiego auskultantami sądowymi.

W szkołach ludowych mianowani: Władysław Jasiński kierującym w Jaryczowie Nowym, Stefan Arbesbauer nauczycielem w Sielcu, Mikołaj Maksymiak kier. w Podhorodyszczu, Łukasz Stadnik naucz. w Hładkach, Zygmunt Wolski st. naucz. w Kosowie, Rozalia Carina mł. n. w Jaśmierzu, Filipina Szumska mł. w Mikulińcach, Teofil Mikulski kier. w Podmichalu, Marya Nowicka st. n. w Zubrzy, Włodzimierz Załużny naucz. w Czerniechowie, Stefan Zwarycz kier. w Baworowie, Piotr Latawiec kier. w Sieteszy, Wawrzyniec Janusz naucz. w Giedlarowej; Wiktor Cieński w Brzozie królewskiej, Fr. Kupka w Majdanie Górnym, Wanda Riegerówna m. naucz. w Kamieniu, Jan Grzebieniowski st. naucz., Elżbieta Pociejówna st. n. i Julia Grzebieniowska mł. naucz. w Żydaczowie; Otylia Rabinowiczówna st. naucz. w Krakowie, Franciszek Swoszowski st. n. w Rawie, Stanisław Wożny i Józef Wierzbicki st. naucz. i Joanna Kiełbasówna mł. n. w Kołaczycach, Wincenty Zgut kierującym w Szczawnicy, Franciszek Irauth kierującym, a Jan Nabelski st. naucz. w Złoczowie.

Suplentami gimnazyalnymi mianowani: Bolesław Biażek w Stryju, Antoni Panek we Lwowie, Włodzimierz Połotnicki w Stryju, Bogdan Hoff w Kołomyi.

Dar cesarski dla Rusinów. Cesarz przeznaczył z dochodów rządowej loteryi, która odbędzie się w czerwcu b. r. sześć tysięcy zł. dla ruskiego „Domu narodnego“ w Czerniowcach na bursę dla ubogich studentów.

Śledztwo dyscyplinarne zostało wytoczone przeciwko kilku księżom ruskim, którzy na rozmaitych zebraniach i w gazetach zwalczali w sposób podburzający nowo założone rusko-katolickie Towarzystwo „Sojusz“.

Kolędy odśpiewają w kościele archikatedralnym łać. podczas mszy o godz. 12 w niedzielę 17 b. m. uczniowie zakładu ormiańskiego im. Torosiewicza pod kierownictwem prof. M. Signio.

Figury i ornamenta dekoracyjne. Obecnie jest we Lwowie jedna tylko pracownia dekoracyjna prof. Marconiego, która od lat kilkunastu zdobiła nasze gmachy, kościoły etc. W tych dniach zaś otwierają młodzi artyści taką pracownię, t. j. p. Antoni Popiel, znany, bardzo zdolny artysta rzeźbiarz, i p. Edmund Pliszewski, były modelator ornamentów u prof. Marconiego. W nowej pracowni pp. Popiela i Pliszewskiego wykonywane będą figury i ornamenta do dekoracyi fasad, przedsionków, salonów itp., jakoteż wszelkie modele plastyczne do metalu, kamienia, drzewa i ceramiki.

Nowy urząd pocztowy otworzonym zostanie z dniem 16 b. m. w Koniuszkowie w powiecie brodzkim.

Z Czytelni katolickiej. We wtorek dnia 19 stycznia b. r. będzie miał odczyt p. dr. Józef Żuliński „O Franciszku Duchińskim“.

W drodze licytacyi sprzedane zostały wczoraj dwa domy, a mianowicie: hotel angielski przy ulicy Karola Ludwika, dawniej własność p. Władysława Barącza, byłego dyrektora teatru hr. Skarbka, nabył

właściciel kawiarni „Grand" p. Józef Ehrlich za 94.065 złr., a dom po zbankrutowanej firmie bankowej Goldstern i Loewenhers przy ul. Hetmańskiej l. 5 nabyło towarzystwo zaliczkowe za 95 600 złr. Na hotelu angielskim ciężyło długów przeszło 100.000 złr., z których prawie 3/4 wynosiła wierzytelność banku hipotecznego.

Kontrakty kupna i sprzedaży zawarto w ostatnich czasach we Lwowie następujące: dr. Waygart, O. Schnell, A. Hubicka i F. Gniewosz kupili od El. Motylewskiej dom przy ul. Żółkiewskiej 107 A. za 22.000 zł. Edw. i Pepi Rechter od Heleny Szydłowskiej dom przy ul. Sykstuskiej l. 38 za 39.400 zł., Elżbieta Sawczyńska od Franciszka i Maryi Niżałowskich dom przy ulicy Garncarskiej l. 34 za 24.000 zł., Helena Paszkiewicz od Ed., J. i Em. Friedrichów dom przy ul. Koralnickiej l. 8 za 61.000 zł., Stanisław i W. Langie od Feliksa i Jadwigi Zandler dom przy ulicy Szeptyckich l. 14 za 20.000 zł., Meilech i Mojżesz Posament od Elw. Bernolaka dom przy ul. Boimów l. 19 za 91.000 zł., Mojżesz i A. Lahliner od Leopoldyny Barewicz dom przy ul. Kazimierzowskiej l. 43 za 53.000 zł., Menasche Fisch od Leiba i Sam. Schwiegerów dom przy ul. Słonecznej l. 29 za 43.500 zł., Władysław Miniewicz od Wandy Signio dom przy ul. Kochanowskiego l. 10 za 30.500 zł.

Tow. lek. krakowskie krząta się gorąco około zebrania polskiej terminologii lekarskiej, która ma być ujęta w słownik. Słownik taki został już raz wydany w języku polskim; opracowali go nieżyjący już profesorowie uniwersytetu jagiellońskiego Oettinger i Janikowski. Słownik ten jest już wyczerpany. Wybrano tedy umyślną komisyę, tak zwaną słownikową, która już wykończyła cały materyał podstawowy. Dalsza praca poświęconą będzie uzupełnieniu słownika wyrazownictwem poszczególnych gałęzi nauk lekarskich.

Mleczarnie włościańskie. W miarę zmniejszania się dochodu z gospodarstw włościańskich i w miarę zmniejszających się dochodów z uprawy roślin zbożowych, dochody z produkcyi nabiału odgrywają coraz to ważniejszą rolę.

Warunkiem uzyskania korzystnego zbytu dla produktów nabiału jest jednak wielka ilość, a zarazem jednostajność towaru, na którą gospodarz, nie rozporządzający odpowiedniemi massami zdobyć się nie może, a więc tylko zakładanie spółek mleczarskich doprowadzić może do celu.

Wychodząc z tego założenia, władze publiczne tak państwowe, jak krajowe, stowarzyszenia rolnicze i jednostki gorliwe o dobro publiczne, zajęły się w ostatnich latach gorąco popieraniem rozwoju spółek mleczarskich. Ministerstwo rolnictwa udziela każdej nowopowstającej spółce, dającej gwarancyę rozwoju, zapomogi na zakupno wszelkich potrzebnych przyrządów w wartości mniej więcej przeszło 600 złr. Wydział krajowy udziela pożyczek bezprocentowych pod bardzo korzystnymi warunkami w kwotach od 1000 do 2000 złr. Nadto [illegible] do współników, od których nowa spółka powstaje, swego instruktora względnie praktykanta mleczarstwa na kilka tygodni celem dokładnego obznajomienia współników z techniką i całą manipulacyą mleczarni.

Towarzystwo Rolnicze Krakowskie wydało w najbliższym czasie broszurę, zawierającą dokładne wskazówki dla zakładających mleczarnie włościańskie. Wreszcie osoby prywatne, przedewszystkiem księża i właściciele większych dóbr zdobywają sobie wielkie zasługi przez zachęcanie włościan do założenia spółki i przez stawanie na czele nowego przedsiębiorstwa.

Z przedstawionego stanu rzeczy wynika, że obecna chwila jest niezwykle dogodną do zakładania włościańskich spółek mleczarskich.

Uprasza się wszystkie pisma polskie o szczególne ludowe o powtórzenie wiadomości tu podanych celem zachęcenia jak największej ich do wstąpienia w ślady Królówki, Łąk, Hacsowa, Klimkówki, w których to gminach dobrobyt włościan znacznie wzrósł, dzięki mleczarniom spółkowym.

Stowarzyszenie czeskich nauczycieli w Pradze postanowiło na pamiątkę jubileuszu 50-letniego panowania Cesarza, zebrać kwotę 500.000 złr. na wybudowanie przytułku dla sierot po nauczycielach. Kwota ta zostanie zebraną ten sposób, iż nauczycielstwo czeskie obowiązało się przez [illegible] procentu od płacy nauczycielskich.

Głos kobiet w Radzie miejskiej. Donieśliśmy niedawno, że grono pań z Krakowa postanowiło domagać się przyznania głosu w Radzie miejskiej. Sformułowaną w tej mierze petycyę, podpisaną przez przedstawicielki różnych sfer i zawodów otrzymał onegdaj prezydent miasta Krakowa. Petycya żąda, żeby kobietom w nowym statucie gminnym przyznano prawo wyborcze we wszystkich kołach, więc i w kole IV powszechnem, w którym dotychczas pewne klasy kobiet — jak np. nauczycielki — nie miały prawa głosu. Dalej żąda petycya, aby unormowano system głosowania, a mianowicie: „albo dać kobietom prawo wyborcze tak, aby je wykonywały nie przez pełnomocników, lecz osobiście; albo nie dać im go wcale, bo nadanie praw wyborczych z pełnomocnictwami jest rzeczą sprzeczną z [illegible] moralności kobiecej". Wreszcie wskazuje petycya na to, że gdy w dawnym statucie gminnym prawo wybieralności do Rady miejskiej określone było słowami: „obywatele gminy", [illegible] O usunięcie tego ograniczenia praw kobiecych proszą więc petentki, przyznając, iż możliwem jest, że z prawa obieralności nie zaraz jeszcze skorzystały kobiety [illegible].

Z Przeworska nam piszą: Dnia 10 bm. odbyło się u nas przedstawienie amatorskie na dochód budowy gmachu „Sokoła". Grano trzy komedyjki, mianowicie „Jeden z nas musi się ożenić", „Remanent domu Müller i Sp." tudzież „Podejrzana osoba". Amatorki i amatorzy grali nadspodziewanie dobrze, na szczególną wzmiankę zasługuje mistrzowska gra naszych panien: H. Ch., M. Ch., Sa. N. i pani O., oraz panowie S., M. i Sw. — Karnawał u nas zapowiada się znakomicie, jak to należy spodziewać się z programu [illegible] naszego kasyna.

Samobójstwo w aptece. Donoszą z Bielaku w Karyntyi: Profesor gimnazyalny Alfred Krob, potrzebujący od niejakiego czasu na urlopie, przyszedł onegdaj z pólnocy do apteki i prosił o sporządzenie mu proszków morfinowych według przedłożonej recepty. Gdy aptekarz wyjął ze szafki słoik z morfiną, profesor wydarł mu go z ręki i szybko wypił całą zawartość słoika. Aptekarz chciał wezwać policyę i lekarza, ale profesor zagroził mu rewolwerem. Mimo to [illegible] lekarza, który podał profesorowi odtrutkę; [illegible]. Odwieziony do szpitala umarł tam zaraz po przybyciu. Znaleziono przy nim kartkę z napisem: „Obawa przed obłąkaniem była przyczyną mojej śmierci".

Nagła śmierć. Arendarz z Pruszowic, Josel Kamcelhaar, cierpiący od kilku lat na rupturę, przybył wczoraj do Lwowa, aby poddać się kuracyi. Atoli gdy wysiadał z wagonu kolejowego na Podzamczu, nagle zachwiał się i padł na ziemię bez życia. Śmierć nastąpiła wskutek zastoju kiszek, wywołanego rupturą. Nieszczęśliwego odwieziono do kostnicy powszechnego szpitala.

Straszny wypadek zdarzył się kilka dni temu w pociągu kuryerskim Paryż-Bruksela. Pod stacyą Hal, gdy jeden z jadących wyjrzał oknem, pędzący z przeciwnej strony pociąg oderwał mu głowę od tułowia.

W sprawie mowy p. Lewakowskiego donoszą do *Gazety Narodowej*, iż kilku posłów polskich wraz z p. Abrahamowiczem, spostrzegłszy, że p. Lewakowski swoją onegdajszą mowę w stenogramie zupełnie przeinaczył, zażądało od prezydenta izby p. Chlumecky'ego, aby fakt ten napiętnował w pełnej izbie jako nieprawidłowy. Żądaniu temu jednak widział się p. Chlumecky zmuszony odmówić, bo od szeregu lat utartym już jest zwyczaj, że posłowie swe mowy, przygotowane do druku podług zapisków stenograficznych, poprawiają. Przyznał atoli p. prezydent, iż poseł Lewakowski istotnie przebrał miarę w przerabianiu swych przed forum parlamentu wygłoszonych słów i myśli.

Straszna zbrodnia pod wpływem wódki. Z Tomaszowa Rawskiego piszą:

Jeden ze strasznych dramatów, spowodowanych alkoholem i moralną nędzą, rozegrał się w tych dniach tutaj.

Mieszkał tu z żoną i dziećmi stolarz Franc. Szymak, a przy nich mieścił się brat Szymakowej Grzegorz Zygar, pracujący w fabryce Piescha. Kiedy Szymak powrócił nad ranem z jednej ze swych złodziejskich wypraw, żona poczęła mu prawić morały, w odpowiedzi na co ogłuszywszy ją uderzeniem pałką w głowę, rzucił się na nią z nożem, chcąc jej uciąć ręce, które też rzeczywiście poprzerzynał. Zbudzony krzykiem siostry Zygar zerwał się ze snu ale zanim zdołał stanąć w jej obronie, Szymak rzuciwszy się ku niemu, rozpłatał mu głowę, a nie poprzestając na tem, obciął oba uszy. Nieszczęśliwy tyle jeszcze miał sił i przytomności, iż rzucił się do ucieczki. Znacząc za sobą krwawy ślad, biegł przed siebie na oślep, aż na ulicy Brzostowskiej zwalił się jak kłoda. Podjęto go i przewieziono do szpitala, w którym dotąd walczy z niechybną śmiercią.

Zbrodniarza osadzono w areszcie, a nieszczęśliwa, okaleczona kobieta ze swoim drobiazgiem została bez chleba i dachu, mieszkanie bowiem zostało opieczętowane.

Czworaki. W Łagiewnikach pod Krakowem powiła żona parobka Malarca czworo dzieci, trzech chłopców i dziewczynę. Jeden chłopiec umarł, reszta wraz z matką znajdują się w dobrem zdrowiu.

Stow. polskie Strzecha w Wiedniu urządza dnia 6 lutego rb. wieczorek kostyumowy, połączony z kiermaszem, w sali festynowej resursy kupieckiej (Festsaal des Wiener kaufmännischen Vereines) I Johannesgasse 4, na dochód „Przytuliska polskiego" w Wiedniu. Wieczorki te gromadzą zawsze licznie Polonię zamieszkałą w stolicy naddunajskiej. Prócz rozmaitych niespodzianek, przygotowanych przez komitet, punktem kulminacyjnym zabawy będzie mazur odtańczony w kostyumach narodowych. — Podczas kiermaszu odegrane zostaną ulubione utwory kompozytorów polskich przez muzykę wiedeńskich strzelców (Wiener Schützen-Capelle) pod osobistem kierownictwem Krakowianina Józefa Kopeckiego, król. greck. nadwornego kapelmistrza, popularnego w Wiedniu dyrygenta i znanego ze swej podróży artystycznej po Afryce.

Fanty lub kwoty pieniężne na cel powyższy można nadsyłać do lokalu komitetu VI Gumpendorfer Strasse 35, II piętro, drzwi 8, gdzie również zaproszenia i bilety wstępu po 1 zł. 50 ct. od osoby, a po 4 zł. 50 ct. familijne nabyć można.

Najnowszy system karania śmiercią zbrodniarzy. W stanie Pensylwania w Północnej Ameryce zmieniono system elektrycznego zabijania zbrodniarzy na — duszenie. Odbywa się to w następujący sposób: Do celi, w której zbrodniarz spi, wpuszczają w nocy pomału gaz, tlenek węgla, będący jak wiadomo bardzo silną trucizną. Zbrodniarz we śnie wdycha ten tlenek węgla i umiera, nie wiedząc o tem i bez żadnego bolu. Oczywiście skazanego nie uprzedzają wieczorem o tem, iż w nocy dadzą mu tak sympatyczny gaz do oddechania.

Małpy jako robotnice. Jeden z właścicieli kopalni złota w Transwaalu prowadził zawsze z sobą do kopalni dwie małpy przyswojone. Małpy te z zajęciem przypatrywały się jak robotnicy płokają piasek złoty wodą, a dzięki zwykłemu u tych zwierząt popędowi do naśladownictwa, zaczęły pomału naśladować tych robotników i niebawem tak starannie i dobrze wykonywały swoją czynność, że właściciel kopalni wpadł na pomysł skorzystania z tego i dzisiaj posiada 20 małp pracujących w kopalni w miejsce robotników.

Zmarli. W Przemyślu dr. Michał Kozłowski, asesor m. Przemyśla, b. zastępca burmistrza i syndyk w 75 r. życia. W Wadowicach Helena Sawicka, żona radzcy sądowego. We Lwowie Karolina Ikałowicz, żona ekspedytora pocztowego.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 2 R., w poł. + 4 R. Bar. 766. Podnosi się. Pochmurno.

SZARADA.

Gdy *pierwsze* zaleca, a nawet zezwala,
To *czwarte z pierwszem* stanowczo zabrania,
Drugie i trzecie zwierzętom nieznane,
Całość twą wiarę puklerzem osłania.

Gołogórski.

Okruchy myśli.

Do duszy mężczyzny miłość wkrada się przez oczy, do duszy kobiety przez uszy.

Kto myśli dużo, tem gorzej, jeżeli myśli głupio; kto myśli mało, tem gorzej, jeżeli myśli rozumnie.

W przedpokoju.

— Czego pan sobie życzy?

— Jestem przedsiębiorcą balów i balików, mam do wynajęcia danserów znakomitych, ze znakomitych rodzin, z kilkoma językami, wdowców, kawalerów i żonatych, którzy jednak na żądanie rozwieść się mogą — z herbami i bez herbów, stosownie do umówionej ceny.

— Czem panu mogę służyć?

— Podobno pani dobrodziejka ma zamiar wydać w tym karnawale pięć balów, więc...

— Skąd pan wiesz o tem?

— Od lichwiarza, któremu pani dobrodziejka wczoraj podpisała weksel na tysiąc guldenów.

Repertuar teatralny. Dziś w piątek po raz drugi „Cyrkowcy", komedya w 3 aktach Schoenthana. Rozpocznie: Kinematograf, program nowy. W sobotę po południu o godz. 3 ciej dla młodzieży szkolnej „Karpaccy górale", dramat w 5 aktach Józefa Korzeniowskiego, rozpocznie: Kinematograf, wieczorem o pół do 8-mej „Faust", opera w 5 aktach Gounoda. Występ pp. Jadwigi Camilowej, Kasprowiczowej, Bohussówny, oraz pp. Aleksandra Myszugi, Juliana Jeromina i G. Górskiego. W niedzielę po południu o godz. 3-ciej „Baron cygański", operetka w 3 aktach Jana Straussa, wieczorem o pół do 8-mej na ogólne żądanie po raz 12-ty „Jaś i Małgosia", opera w 3 aktach Humperdincka. Ostatni pożegnalny występ panny Maryi Kozłowskiej. Rozpocznie: Kinematograf.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Są dzieła sztuki, które się nigdy nie starzeją, jakkolwiek zewnętrzna ich forma podług zasad kierunku postępowego wydaje nam się może zacofaną, dziwaczną przestarzałą. Forma podlega wymaganiom czasu i z czasem traci swą wartość; absolutne piękno jednak, głęboka i z prawdziwego natchnienia pochodząca myśl kompozytora — w niektórych utworach przezwycięża dziesiątki, a nawet setki lat, zachwyca nas bez względu na odmienny i coraz wybredniejszy nasz smak artystyczny — tak jak zachwycała naszych pradziadów. Do tego rodzaju dzieł należy przedstawiona wczoraj opera Donizetti'ego „Łucya z Lammermooru". Niektóre ustępy tej opery, jak wspaniały sekstet i następujący po nim finał 2 go aktu, a w następnym akcie scena obłąkania, pięknie odśpiewane zawsze zrobią głębokie wrażenie i wywołają potężny efekt, a piękne melodye, których nie brak w Łucyi, mimo okropnie banalny akompaniament orkiestry, nigdy nie stracą swej świeżości i uroku. Jeżeli dodamy, że wczorajsze wykonanie tej opery było pod każdym względem doskonałe dzięki solistom, dobrze wyuczonym chórom i wzmocnionej o ile możności orkiestrze — to naprawdę wypada nam żałować, że podobno nie usłyszymy tej opery w tym sezonie po raz drugi.

Łucyę śpiewała wczoraj p. Camilowa i odniosła nietylko sukces, lecz prawdziwy tryumf. Pilne studya, którym artystka oddawała się przez dłuższy czas w Paryżu nie zostały bez owocu, wczorajszy występ p. Camilowej, niekłamany zachwyt i gorące owacye publiczności, ze wszech miar zasłużone, są pięknym rezultatem wytrwałej pracy. Głos jest pięknym i świeżym, jakim był zawsze, natomiast nieskazitelna czystość intonacyi, poprawna koloratura i gra prawdziwie dramatyczna o subtelnych odcieniach podniosły się do perfekcyi. Nie było więc końca burzliwym oklaskom dla tak sympatycznej artystki i Lwowianki; prócz tego wręczono wczoraj p. Camilowej przepyszny wieniec laurowy.

Edgar p. Myszugi, to kreacya wielka, wspaniała, skończona aż do najdrobniejszych szczegółów i znana nam zresztą doskonale z poprzednich sezonów operowych. Przy niezrównanej miękkości, którą artysta wlać potrafi w części liryczne partyi, nadaje tyle siły głosu, gdzie tego potrzeba i tyle dramatycznej potęgi swojej grze, że całość wywołać musi zawsze szalony entuzyazm, cokolwiekby śpiewał p. Myszuga.

Powiernikiem Łucyi był p. Jeromin i niemniejszy odniósł sukces jak zwykle, zwłaszcza, że partya ta leży nadzwyczaj dobrze w głosie artysty, który wczoraj był doskonale dysponowanym. Obsypano więc artystę serdecznemi oklaskami po aryi 2-go aktu.

P. Górski w roli Astona cieszył się powodzeniem i miał chwile szczęśliwe, do całości doskonałej przeszkadzały mu wysokie tony, których nie szczędził niestety kompozytor.

Chcąc być sprawozdawcą sumiennym, niepodobna zamilczeć, że pp. Jeromin i Myszuga śpiewali wczoraj niestety po włosku. Nie ulega wątpliwości, że słuchamy chętnie włoszczyzny od rodowitych Włochów lub nawet artystów polskich, którzy bawią ustawicznie za granicą, lecz artyści, którzy od kilku lat występują li tylko na scenach polskich powinni się pozbyć nareszcie niepotrzebnego balastu i przyuczyć partyi po polsku.

Wyrażamy to życzenie przedewszystkiem w interesie samych artystów chcąc im zapewnić dalszą sympatyę publiczności, w interesie publiczności, która ma prawo rozumieć o co się rozchodzi na scenie, choćby to była opera, a nareszcie w interesie dyrekcyi, której rzetelne starania złożenia polskiego ensamblu operowego będą daremne, skoro ciągle będą natrafiać na opór ze strony tych właśnie artystów, którzy nam są najmilsi.

Fr. Neuhauser.

Głosy publiczności.

Łaskawym ofiarodawcom za zużyte zabawki dla dzieci szpitalika św. Zofii serdeczne „Bóg zapłać".

Leontyna Wernerowa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 stycznia.

(Z) Dzisiejsze obroty odbywały się pod wpływem wielu niekorzystnych wiadomości. Zaniepokoiła przedewszystkiem wielce pogłoska, że w Mekce wybuchło morowe powietrze i że na jednym z parowców Lloyda zdarzył się wypadek dżumy. Akcye Lloyda spadły skutkiem tego w jednej chwili o 6 zł. I z berlińskiej giełdy wiał także niepomyślny prąd. Nominacya Murawiewa rosyjskim ministrem spraw zagranicznych bardzo niepokoi tamtejsze sfery giełdowe. Zapowiedziana wreszcie konwersya 6-procentowych pryorytetów towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju wywołała raptowny spadek tych pryorytetów, których kurs w ciągu kilku minut obniżył się z 110 50 na 105. Jedne tylko akcye wiedeńskiej kolei lokalnej były przedmiotem ożywionego obrotu skutkiem wiadomości, że przedsiębiorstwo to zamierza wybudować kolej elektryczną między Wiedniem a Badenem.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 374 75, węgierskie 413 75, Anglobanki 158·—, Uniony 298·50 Bankvereiny 259 75 Länderbanki 250·75, Ludwiki 218 25, Czerniowieckie 293 50, Elbethale 279 25, Renta papierowa 101·75, srebrna 101·95, austryacka złota 122 95, austr. renta wal. kor. 100 95 węgierska złota 121·80, węgierska renta wal. kor. 99 70, dukat 5·66, 20-frankówka 9·52 1/2, marki 11·75, ruble 1·27 1/2.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 15 stycznia. Rada państwa przyjęła bez zmiany cały budżet kolei państwowych i rozpoczęła debatę nad budżetem ministeryum rolnictwa. Pierwszy zabrał głos minister rolnictwa Ledebur i oświadczył zaraz na wstępie, że chce odpowiedzieć na mowę wypowiedzianą przez p. Stefanowicza w toku jeneralnej debaty nad budżetem. Przedewszystkiem odmówił hr. Ledebur Radzie państwa prawa kontroli nad greko-oryentalnym funduszem religijnym na Bukowinie, gdyż sprawy tego funduszu, zdaniem mówcy, nie należą do kompetencyi Rady państwa. Na poparcie tego twierdzenia powoływał się mówca na regulamin z r. 1786. Mógłby zatem mówca nie reagować na zarzuty p. Stefanowicza, zabiera jednak głos głównie w tym celu, aby wziąć w obronę swego poprzednika hr. Falkenhayna, który przez lat szesnaście kierował ministeryum rolnictwa. W ogóle potępia mówca sposób walki, jakiego chwycił się p. Stefanowicz. Nigdy nie powiedział mówca tego, jakoby zarząd funduszu religijnego był tak dobry, iż nie potrzebuje żadnej reformy, przeciwnie przyznaje, iż niejedno potrzebuje naprawy. Ogólne wrażenie, jakie mówca odniósł z podróży swej po dobrach tego funduszu jest to, że leśniczy na Bukowinie są istotnie pionierami postępu i nie można im zrobić żadnego zarzutu; a już wręcz nieprawdopodobnym jest zarzut p. Stefanowicza, jakoby na całej długiej przestrzeni od Kimpolunga do Dorny nie było ani jednego 20 letniego drzewa. P. Stefanowicz przyrzekł sam to sprostować, a jednak tego nie uczynił. Początkowo nie posądzał mówca p. Stefanowicza o złą wolę i gotów był raczej przypuścić, że podczas objazdu tej przestrzeni usnął on w powozie, po ostatniej mowie jego atoli musiał mówca nabrać innego przekonania.

Zaprzecza dalej minister opowiadaniu o procesach fundusu religijnego z baronem Popperem, powstałych skutkiem złej administracyi i drugiemu zarzutowi, jakoby nikt już nie chciał kupować drzewa od administracyi funduszu religijnego. Poseł Stefanowicz, jak twierdzi minister, sam starał się o zawarcie kontraktu leśnego z funduszem religijnym w lipcu zeszłego roku, a to co do lasu zakontraktowanego aż do roku 1898 przez firmę Ortlieb. „Niestety nie mogłem przyjąć tej oferty tak z powodu wniesienia jej już na 2 1/2 roku przed upływem obecnego kontraktu, jak i ze względu na niezwykłą solidność firmy Ortlieb. Daleki jestem od tego, by domyślać się związku przyczynowego pomiędzy tym ujemnym rezultatem starań, a mową posła Stefanowicza, ale możliwem jest, że w przeciwnym wypadku mowa jego wypadłaby była łagodniej." Omawia następnie mówca szczegółowo i w duchu pochwalnym gospodarkę leśną na Bukowinie, dalej zapowiada w niedalekiej przyszłości założenie fabryki cukru w dobrach funduszu religijnego. Co do fabrykacyi cementu zbija twierdzenia p. Stefanowicza, przyczem znów daje do zrozumienia, że z posła tego przemawia animozya, gdyż sam starał się o objęcie pokładów kamienia cementowego. Właściwie powody mowy p. Stefanowicza są zdaniem ministra natury politycznej, p. Stefanowicz bowiem należy do tego stronnictwa na Bukowinie, które chciałoby rozbić komplekt dóbr funduszu religijnego i doprowadzić do parcelacyi, na co rząd nigdy się nie zgodzi.

Porównanie Bukowiny z Bośnią nie ma sensu, gdyż stosunki w obu tych krajach są tak niepodobne, jak niebo a ziemia. W końcu zapewnia minister, że starać się będzie o to, ażeby greko oryentalny fundusz religijny zachowany był dla swoich celów, ale z drugiej strony nie zapomni także jak wielkie obowiązki ma ten olbrzymi majątek względem kraju. (Oklaski)

P. Pattai interpelował rząd, czy jeszcze przed wejściem w życie nowego kodeksu karnego wnieść nowelę, nakładającą kary za nakłanianie do gry giełdowych i zachęcanie do niej niedozwolonemi reklamami.

Minister handlu zawiadomił izbę, że ustawa o udziale Austryi w międzynarodowej wystawie paryskiej uzyskała sankcyę cesarską.

Następne posiedzenie dzisiaj.

Cetynia 15 stycznia. Obchód dwóchsetnej rocznicy założenia dynastyi Niegossów rozpoczął się onegdaj wieczorem wystawieniem na widok publiczny w cerkwi katedralnej śmiertelnych szczątków założyciela tej dynastyi metropolity Daniły. Wczoraj odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę Daniły w obecności całej rodziny książęcej, ciała dyplomatycznego i dostojników, poczem zwłoki te zanieśli w uroczystym pochodzie członkowie rodziny książęcej i jenerałowie do grobowca. Wojsko i olbrzymie zastępy ludności tworzyły szpaler. Metropolita miał przemowę, w której wysławił cnoty założyciela dynastyi czarnogórskiej. Następnie miał książę Mikołaj przemowę do ludu, w której przypomniał walki trwające przez dwa stulecia a uwieńczone tak wielkimi rezultatami dzięki braterskiej łączności między narodem a księciem. Książę przyrzekł uroczyście pozostać wiernym tradycyi swych przodków, błagał Boga o błogosławieństwo dla Czarnogóry, dziękował potężnemu rosyjskiemu narodowi bratniemu za życzliwość i opiekę jaką otacza Czarnogórę, dziękował zaprzyjaźnionym monarchom i przyrzekł całe swe życie poświęcić tylko dla dobra narodu.

Między ludnością panował trudny do opisania entuzyazm.

Paryż 15 stycznia. Senat wybrał 205 głosami ponownie Loubeta swym prezydentem.

Wiedeń 15 stycznia. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza ustawę regulującą stanowisko asystentów na uniwersytetach i politechnikach, ustawę przyznającą kredyt na udział Austryi w wystawie paryskiej, tudzież postanowienia, dotyczące udziału krajów reprezentowanych w Radzie państwa w tej wystawie. Protektoram działu austryackiego będzie jeden z arcyksiążąt, którego Cesarz zamianuje. Prace przygotowawcze, tudzież przeprowadzenie udziału krajów w wystawie należeć będzie przedewszystkiem do centralnej komisyi, której prezesem jest minister handlu, następnie do wybranego z łona tej komisyi subkomitetu, do komisyi krajowych pod prezydencyą namiestników, do komitetów specyalnych dla sztuk pięknych i rolnictwa, do delegacyi centralnej komisyi, która urzędować będzie w Paryżu i do jeneralnego komisarza, którym zamianowany został radzca dworu Exner.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 stycznia. Z. hr. Sołtykówna, A. Kożuchowski i J. hr. Pruszyński z Wołynia. St. Cieński z Wodnik. E. Scott z Repienki. J. Klasterski z Drohowyża. R. Brudermann z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 stycznia. J. Płocki z Monasterzysk. L. Zajączkowski z Podola rosyjskiego. J. Friedländer z Frankfurtu. Wł. Malinowski z Kudynowiec. R. Dyk z Stanisławowa. M. Broccard z Warszawy. St. hr. Wolański z Bukowiny. J. Korzeniowski z Bonowa. St. Lewandowski z Bełza. A. Raszewski z Russociec. M. Torosiewicz z Pełtwy. J. Banhegyi z Wiednia. J. Stankiewicz z Wolicy. W. Angermann z Jasła. H. Wolf z Wiednia. W. Udycki z Mostów.

Nadesłane.

†

Nabożeństwo żałobne

za spokój duszy ś. p. **Róży z Ebenbergerów I śl. Podgórskiej, 2-go śl. Kochanowskiej** odbędzie się w poniedziałek dnia 18 b. m. o godz. 9 rano w kościele OO. Bernardynów we Lwowie.

Lwów dnia 15 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217.50 do 220.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jassko po 200 zł. w. a. 292 — do 295.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 395 — do 405·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.53, 4 proc. los w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (i. emisya) 97.60 do 98.30 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.50 do 98.20, 4 proc. los. w 56 lat 97.50 do 98.2[illegible].

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.60 do 98.30, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97 20 do 97.90, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.30 do 97 90.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.48 do 9·53. Półimperyał 5.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58 50 do 59.—.

Wiedeń 14 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 374 00, węgierskie kredyty 414·—, anglobank 157·75, bankverein 259 50, unionbank 298 —, länderbank 250.50, staatsbahny 364 75, lombardy 91.50, elbethale 279.50, akcye tytoniowe 157.00, rima 244.50, alpiny 88 60 renta majowa 101.80, węg. renta koronna 99 65. losy tureckie 52 90, marki 58 80, ruble 127·25.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH
obowiązujący z dniem 1 maja 1896 (czas środk.-europejski)

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi pospieszne			Pociągi osobowe			
Z Berlina, Z Krakowa Wiednia, Z Wrocławia	5.10	1.30	8.45	8.55	6.55	9.30	
Z Warszawy	5.10			8.55		9.30	
Mszany d. przez Tarnów							
Z Rozwadowa i Nadbrzezia przez Dembice	—						
Chabówki przez Tarnów	5.10	1.30			6.55		
Z Chabówki przez Rzeszów	5.10	1.30					
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1.30		8.55			
Z Rawy ruskiej przez Jarosław	—	1.30	8.45			9.30	
Z Krosna, Iwonicza, Rymanowa, Sanoka przez Przemyśl	—	1.30	8.45	8.55		9.30	
Z Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—		8.45	8.55		9.30	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			8.06			
Z Stanisławowa przez Stryj	—			8.00	1.51		12·10
Z Chyrowa przez Stryj	—			8.06	1.51	10.10	12·10
Z Itzkan, Husiatyna, Körösmezö, Słobody, rungury, Berhometh, Oszdyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—		9.55				
Z Itzkan, Czortkowa, Körösmezö, Kałusza, Sopowa, Bukaresztu i Jass	—				2·01		
Z Itzkan, Radowiec, Berhometu i Oszdyna (każd. poniedziałku), Peczeniżyna	—					6.19	
Z Itzkan, Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Oszdyna każdego poniedziałku Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—			7.28			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8.15		5.45	
Z Bełzca	—					5.45	
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	—	2·25	9 50	7·46	4·55		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	—	2 40	10.05	8 07	5·20		
Z Janowa	—			7.50	1·35	8.00	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8.40	2.50	11.00	4.40	9.55	6.45	
Warszawy	8.40		11.00	4.44		6.45	
Rozwadowa i Nadbrzezia	8.40		11.00	4.40			
Chabówki przez Tarnów	—		11.00				
Chabówki przez Rzeszów	—		11.00				
Chabówki prz. Przemyśl	—				9.55		
Rawy r. przez Jarosław	—				9.55	6.45	
Chyrowa, Sanoka, Iwonicza, Rymanowa przez Przemyśl	—	2.50		4.40			
Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—			4.40	9.55	6.45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu prz. Stryj	—			4.40		6.45	
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj				5.22		7.22	
Chyrowa przez Stryj	—				9.35	7.31	
Itzkan, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Körösmezö, Kołomyi nad. przedm., Berhometu, Oszdyna, Radowiec, Kimpolunga	—			5.22			7·25
Itzkan, Peczeniżyna, Oszdyna i Berhometh każd. poniedz. Radow.	6.10						
Itzkan, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza, Körösmezö, Kimpol.	—				10.25		
Itzkan, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Peczeniżyna, Nowosielicy, Radowiec	—				2.45		
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			9.15		7.05	
Bełzca	—			9.15			
Podw. i Brodów z Podz.	6·08	2·19		9.48			10.48
Podw. i Brodów z gł. dw.	5·55	2·11		9.30			7·50
Janowa					9.05		

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czas środkowo europejski = godz. 12·36 zegara podług lwowskiego.

15)

ZBRODNIARZ - ARTYSTA

przez

Rodryga Ottolengui.

Przekład z angielskiego E. Żmijewskiej.

(Ciąg dalszy).

— Oni dopuszczają się zbrodni i szeregiem kłamstw usiłują się z zarzutu oczyścić. Ja zaś trzymam się zasady: „Odmawiaj odpowiedzi, a jeśli odpowiadasz — to mów prawdę.“ Otóż w tym wypadku jest kilka punktów tak samo niepojętych dla mnie, jak i dla pana. Tych objaśniać nie mogę. Jednym z nich jest naprzykład: skąd pan masz duplikat spisu moich klejnotów, bo że są moje, to panu ręczę.

— Oto jest ów spis — rzekł detektyw, wyjmując go z kieszeni — pismo nawet jednakowe.

— To dziwne, pozwól mi pan obejrzeć. — Mitchel wstał i przechylając się przez ramię detektywa oglądał papier. — Widzi pan — ciągnął dalej — nie proszę pana, abyś mi dał papier do rąk, bo mógłbyś przypuścić, że go chcę odebrać.

Mr. Barnes podał mu oba papiery w milczeniu. Mr. Mitchel biorąc je do rąk, ukłonił się i powrócił na swoje dawne miejsce. Po chwili uważnego badania, oddał oba spisy.

— Zgadzam się z panem — rzekł — pismo jest zupełnie to samo. Jaki pan wyprowadzasz z tego wniosek?

— Znalazłem ten opis w kieszeni sukni, należącej do Róży Mitchel.

— Jakto! Więc to ona została okradziona z tych klejnotów?

Na twarzy Mitchela odbiło się zdumienie tak wielkie i szczere, że detektyw się zmięszał, bo skoro mr. Mitchel o tym fakcie nie wiedział, tajemnica zaczynała się wikłać jeszcze bardziej.

— Więc pan twierdzisz, żeś o tem nie wiedział?

— Zkądżebym mógł wiedzieć?

Nastąpiło milczenie. Obaj gentlemanowie zastanawiali się nad sytuacyą. Wreszcie mr. Barnes rzekł chłodno:

— Mr. Mitchel, jestem zmuszony aresztować pana.

— Na mocy jakiego zarzutu?

— Na mocy zarzutu, żeś pan ukradł klejnoty, a może nawet zabił Różę Mitchel.

— Czy chcesz mnie pan zabrać ze sobą?

— Dlaczego pan o to pytasz?

— Bo w razie przeciwnym, chciałbym panu zadać kilka pytań?

— Słucham.

— Najprzód: kradzież została spełniona w pociągu będącym w biegu; zechciej mi pan objaśnić, jak według pańskiego mniemania mogła być dokonaną, skoro zrewidowano wszystkich pasażerów bezskutecznie?

Mr. Barnes miał swoje hypotezy w tym względzie, ale wyjawić ich nie myślał. Uznał jednak za stosowne rzucić przypuszczenie inne zupełnie, a to żeby zobaczyć, jakie to sprawi na mr. Mitchelu wrażenie.

— Istotnie, wszyscy zostali zrewidowani — rzekł. — Najpierwszym był mr. Thauret. Nic przy nim nie znaleziono. Ów Thauret znajdował się w jednym przedziale z Różą Mitchel. Przypuśćmy więc, że gdy pociąg stanął w New-Haven, Francuz zabrał futerał, wyszedł z wagonu i podał go przez okno panu, sądząc, że rewidować będą tylko jego przedział. Po rewizyi wysiadł w Stramford. Kto wie, czy nie zastukał potem do pańskiego okna i nie odebrał futerału?

— W takim razie byłby moim wspólnikiem? Mylisz się pan. Człowieka tego nie znam wcale.

— Mówiłeś pan, żeś go już spotykał, gdy miss Dora przedstawiała go panu.

— Spotkałem go raz jeden przy zielonym stoliku. Dlatego to byłem nierad, że go widzę w domu mojej narzeczonej. Ale dajmy pokój kradzieży, bo widzę, że pomimo mojego zaprzeczenia pan mi nie wierzysz, a sąd przysięgłych może zdanie pańskie podzielać, przejdźmy zatem do morderstwa. Czy pan przypuszczasz, że gentleman, zakładający się, że przestępstwo spełni, mógłby dopuścić się odrazu najgorszego, to jest morderstwa?

— Tego nie przypuszczam. Ale gdyś pan po spełnieniu kradzieży dowiedział się, że kobieta, która od pana wyłudziła groźbą owe 10 000 dolarów, zajmuje apartament umeblowany w tym samym domu, co pańska narzeczona, udałeś się zapewne do niej, żądając, aby opuściła dom ten i miasto, a gdy się opierała, zabiłeś ją w obronie własnej.

— Nie znasz mnie pan zupełnie. W tem, co pan powiadasz, jeden jest tylko punkt ważny dla mnie. Ze słów pańskich wyprowadzam wniosek, że ta kobieta zamieszkiwała dom z apartamentami umeblowanemi przy ulicy 30.

— Nieinaczej. Wiedziałeś pan o tem doskonale.

— Mylisz się pan. Ale powróćmy do klejnotów. Sądzisz pan, że to są zaginione kosztowności. Jeśli panu dowiodę, że tak nie jest, czy mnie pan pozostawisz na swobodzie?

— Z przyjemnością — odparł detektyw, pewny będąc, że to jest niemożliwem.

— Dziękuję panu. To mi daje swobodę ruchów, a w zamian za pańską uprzejmość obiecuję dopomódz panu w wynalezieniu prawdziwego mordercy.

Powiedziawszy to, mr. Mitchel dotknął guzika od elektrycznego dzwonka, a gdy wszedł woźny, kazał mu poprosić kasyera mr. Charles.

Ukazał się on niebawem.

— Mr. Charles — rzekł do niego mr. Mitchel — czy mógłbym wejść do tego pokoiku bez pańskiej świadomości?

— Nikt tu bez mojej wiedzy wejść nie może — brzmiała odpowiedź.

— Mój klucz jest w przechowaniu u pana?

— Tak.

— Czym go kiedy wynosił po za obręb tego gmachu?

— Nie.

— Czy sądzisz pan, że mógłbym mieć duplikat owego klucza i wejść tu niepostrzeżenie?

— Jest to niemożliwem.

— Czy pamiętasz pan, kiedy tu byłem po raz ostatni?

— Było to dwa tygodnie temu. Mówiłeś mi pan wtedy, że jedziesz do Bostonu.

— Dziękuję panu, mr. Charles. Tyle tylko chciałem usłyszeć z ust pańskich.

Kasyer wyszedł, mr. Mitchel spojrzał na detektywa z uśmiechem.

— Widzi pan, żeś się pan znowu omylił. Klejnoty zostały skradzione wczoraj rano, ja tu od dwóch tygodni nie byłem, a więc nie mogłem ich w tej kasie schować. Czy to pana zadawalnia?

— Bynajmniej. Jeśliś pan potrafił spełnić kradzież w pociągu, pomimo, żem pańskiego przedziału z oka nie spuszczał; jeśliś pan zdołał owe klejnoty ukryć, pomimo, iż wszystkich, i pana między nimi, zrewidowano — to jesteś pan dość zręczny i przebiegły, aby znaleźć drogę dostania się tu bez wiedzy mr. Charlesa. Zresztą, niewiadomo, czy go pan do kłamstwa nie skłonił. Zanadto jestem pewny, że to te same klejnoty, abym się dał tak łatwo przekonać.

— A więc miałeś mnie pan na oku owej nocy? Przykro mi, żeś pan sobie tyle trudu zadawał. Chcesz pan jeszcze dowodu? I owszem. Przyjrzyj się pan temu.

Wyjął wiązankę listów, a z niej — rachunek, datowany z przed laty pięciu, a zawierający taki sam dokładny spis klejnotów i futerału. Do rachunku przypięty był kwit z opłaty cła, datowany także z przed pięciu laty.

Wobec takich dowodów mr. Barnes musiał ustąpić. Te klejnoty należą do mr. Mitchela najoczywiściej.

— To mi wystarcza. Szaleństwem byłoby z mojej strony aresztować pana, gdyż za okazaniem tego dokumentu każdy sędzia śledczy go uniewinni. Lecz zakarbuję sobie dobrze w pamięci, że te dwa spisy są jednakie, a guzik identyczny z pańskiemi.

— Ale prawda, mr. Barnes, czy mógłbyś mnie też pan objaśnić, gdzie pan ten guzik znalazłeś?

— W pokoju, w którym ta kobieta zamordowaną została.

— Nie dziw, że przywiązujesz doń wagę i nie pojmuję, dlaczego ofiarowałeś go pan miss Remsen.

W oczach Mitchela zamigotał błysk ironii. Detektyw nie uznał za stosowne dać na tę interpelacyę odpowiedzi.

Mr. Mitchel ciągnął dalej:

— W uznaniu, że mnie pozostawiasz na swobodzie, dam panu jedną wskazówkę. Założyłem się z moim przyjacielem Randolphem wczoraj rano, to jest 2-go grudnia, że zbrodnię spełnię, zastrzegłem sobie miesiąc czasu do jej wykonania, czyli że ma być spełnioną do 2 go stycznia. Gdybyś pan doszedł do wniosku, że nie jestem winien zbrodni, którą pan teraz śledzisz, mógłbyś wpaść na domysł, że mam jaką inną na widoku.

— Nie ma obawy, abyś pan w ciągu tego miesiąca popełnił jaką bądź zbrodnię bez mojej wiedzy — odparł mr. Barnes.

— Możebyśmy zmienili przedmiot rozmowy? Widzi pan ten rubin? — mówiąc to mr. Mitchel, wyjął z futerału przepyszny klejnot. — Otóż mam zamiar ofiarować go miss Remsen. Wszak jej będą zazdrościć takiej ozdoby?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Manieckiego i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.